
GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 165

KWIECIEŃ-CZERWIEC

2024



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław), Piotr Rudzki (Warszawa) korektor.

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82
PKO BP I O. Poznań*

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

Na okładce: Matka Boża Różańcowa z Tarnopola – obecnie znajduje się w Kościele Dominikanów Poznaniu.

SPIS TREŚCI

Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. VIII).....	s. 1
Jerzy STOPA	
Wspomnienia – cz. II (Tarnopol)	s. 7
kpt. Wilhelm RITTER VON SCHRAMM	
Rozbite „Kanny” - Ostatnie dzieło wojenne Gen. Hube	s. 14
Igor MEGGER	
Nasza „Pani Tarnopolska” w Poznaniu (cz. I)	s. 20
Eugeniusz JAWORSKI	
Ks Kazimierz Klee - kapelan AK Obszaru Zbaraż i ostatni proboszcz parafii kretowiecko-hrycowskiej	s. 26
Miła SANDBERG-MESNER	
Krąg dobrej woli (Zaleszczyki)	s. 32
Sara RODA	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.XI – Rodzina Dukiewiczów i Świerszczaków (Buczacz)	s. 34
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. XI –Julian Wołoszynowski ..	s. 39
Igor MEGGER	
Julian Gozdowski – król Polany Jakuszyckiej	s. 40
Igor MEGGER	
Zmarł prof. Wiesław Barczyk	s. 43
Wojciech BADYLAK	
Krystyna Ludwika Badylak 1934-2023	s. 45
REDAKCJA	
Z Żałobnej Karty: Lesław Schmutz, Tadeusz Zawer, Ludwik Denderys, ppłk Stanisław Jastrzębski	s. 47
Katarzyna KWINECKA	
Sprawozdanie Prezesa z merytorycznej działalności zarządu TMLiKPW o. Poznań Kadencja XII 2019 – XII 2023	s. 49
REDAKCJA	
Nowe władze poznańskiego oddziału TMLiKPW	s. 55
Grażyna Orłowska-Sondej laureatką statuetki „Semper Fidelis”s.	56



Józef Zbigniew Siegel

Warszawa

Saga klanu Siegelów Cz. VIII

VIII. Notki biograficzne.



Wujek Adam. Adam Budyś – urodzony 12 listopada 1906 roku w Łazach, w powiecie bocheńskim. Był synem Karola Budysia, który urodził się 22 października 1847 roku. Te dane ojca Adama zdają się potwierdzać wieści krążące swego czasu po Łazach, jakoby Karol Budyś brał udział w Powstaniu Styczniowym 1863 roku. Jest to prawdopodobne, gdyż z historii wiadomo, że wielu młodych patriotów

z zaboru austriackiego przedostawało się do Kongresówki, aby bić Moskała. Po upadku Powstania powracali oni do domów w zaborze austriackim. Ojciec Adama zmarł już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1933 roku. Teraz, dla lepszego zrozumienia dla czego większość rodziny Budysiów, ale też i Siegelów, tytułowała Adama wujkiem, musimy przedrzeć się przez gąszcz Budysiów w Łazach. Nasz wujek Adam miał trzech starszych braci: Jana, Piotra i Walentego. Wszyscy zajmowali się rolnictwem żyjąc z uprawy pól. Adam swoje kawałki roli uprawiał wspólnie z Janem Budyśm, a później z jego dziećmi. Jan Budyś miał żonę Katarzynę, która pochodziła też z Budysiów, ale z innej, oczywiście niespokrewnionej ze sobą linii.. Ich dzieci były więc o pokolenie niżej i dlatego Adam z pokolenia wyższego przypadał im jako wuj. Kolejno byli to: - Feliks Budyś - Józef Budyś - Julia Flasińska - Anna Setner - Aniela Lesiewicz - Paweł Budyś - Ludwika Siegel.

Z Katarzyną Budyś wiąże się zabawna historia, która przydarzyła się jej podczas wizyty w lokalnym urzędzie gminnym. Otóż

Katarzyna, kobieta z Łazów, ubrana z wiejska, załatwiała jakąś sprawę „urzędową”, co jak wiemy do dzisiaj, wymaga wypełnienia jakiegoś tam formularza (pal licho, jak tylko jednego). Urzędniczka, widząc przed sobą wiejską kobietę, zapewne w dobrej wierze postanowiła jej pomóc w wypełnianiu formularza. Zapytała: - Jak się nazywacie kobieto? - Budyś – odpowiedziała Katarzyna. - Wasze nazwisko panińskie? - Budyś – poinformowała Katarzyna. Lekko zniecierpliwiona urzędniczka zadała więc tzw. pytanie pomocnicze: - Jak nazywałyście się przed ślubem? - Budyś – cierpliwie odpowiedziała Katarzyna. Poczzerwieniła ze zdenerwowania urzędniczka postanowiła więc „zagiąć” Katarzynę: - A jak nazywał się wasz ojciec? - Budyś – odpowiedziała niczym niezrażona łazowianka. Zupełnie już zdezorietowana : - A jak teraz wy się nazywacie? - Budyś – ze stoickim spokojem po raz kolejny odpowiedziała Katarzyna. Urzędniczka kompletnie wyczerpana psychicznie zdołała jeszcze wykrztusić: - A jak przed ślubem się nazywałyście? Katarzyna Budyś nie zdążyła już odpowiedzieć, gdyż biurowe koleżanki wyprowadziły z pokoju biedną urzędniczkę z objawami załamania nerwowego. Pochodząc z licznej rodziny rolniczej nasz wujek Adam mógł chodzić tylko do czteroklasowej szkoły w Łazach. Zajęciem młodego człowieka w owych latach na wsi była pomoc rodzicom w gospodarstwie rolnym. Synowie obdzielani działkami rolnymi uprawiali je dla siebie i we własnym zakresie. Jak wspominałem, Adam połączył się z Janem oddając swe pole do wspólnej uprawy i wykorzystywania.

W latach 1926-28 Adam odbył służbę wojskową w Krakowskim Pułku Piechoty. Po zwolnieniu z wojska jego stryj Jan Siegel, rozwijający wówczas swój zakład kaflarski w Czortkowie, po opłaceniu podróży kolejowej, niezwłocznie ściągnął go do siebie na naukę zawodu. Adam okazał się pojętym uczniem i po kilku latach stał się jednym z najlepszych czeladników w firmie dziadka Siegela. Przystojny, młody i nieźle zarabiający miewał ciekawe partie do ożenku, często był przez ciocię Wisię oraz jej koleżanki zapraszany na różne bale organizowane przez wojsko, związki kolejowe, Związek „Sokoła” itp. Pamiętam Adama ubierającego się w smoking lub

ubranie wizytowe i wiem, że nikt by nie pomyślał, że ten elegancki mężczyzna jest prostym rzemieślnikiem. Ten sam Adam, już jako rzemieślnik w roboczym ubraniu, często dostawał do wykonania specjalne i odpowiedzialne zadania zawodowe w różnych dworach kresowych, a nawet pałacach, jak np. w miejscowości Bilcze Żłote u księcia Sapiehy (brata Kardynała). Zresztą „kawalerem do wzięcia” Adam trwale pozostał. W Czortkowie jako podpora firmy kaflarskiej nie miał na to czasu, późniejszy czas okupacji nie sprzyjał zalotom, a jeszcze później zajmowała go praca i pomoc rodzinie, znajomym itd.

Nadszedł rok 1939. Adam jako rezerwista dostał kartę mobilizacyjną. Pożegnał się z rodziną stryja Siegela i pojechał do swego pułku piechoty w Krakowie. Niestety - wojna nie „rozplynęła się po kościach” i Adam ze swoim pułkiem odbył kampanię wrześniową. Żołnierze owego pułku byli wyposażeni w rowery, tak więc piechur Adam Budys odbył wojnę na wojskowym rowerze i wraz z nim dostał się do niemieckiej niewoli. Jak z tej niewoli uciekł, i to z rowerem, nigdy nam nie opowiedział. Rower miał przez całą okupację, aż do 1945 roku. Objeżdżał na nim cały powiat bocheński i okolice pracując jako kaflarz, a przy braku kafla, jako zdun. Przez cały ten czas współpracował z rodziną Jana Budysia, dzieląc się z nimi swoim zarobkiem i korzystając z ich kuchni i co tam w kuchni było. Pozwolę sobie przytoczyć pewne wydarzenie z czasów okupacji pokazujące w niewielkim stopniu charakter wujka Adama, zawsze skorego do niesienia pomocy, choćby najmniejszej. Jak już wiemy z kart tej historii, w marcu 1944 roku w Łazach zjawiała się grupa Siegelów uciekających przed zbrojnymi napadami band ukraińskich. Po kilku dniach ciocia Wisia kategorycznie stwierdziła, że musi po coś bardzo, ale to bardzo ważnego wrócić do Czortkowa. Wówczas front był już blisko, Ruscy byli w niewielkiej odległości od Czortkowa. Mimo to Wisia zdecydowała na podróż pociągiem wciąż działającej Deutsche Reichsbahn (*Niemiecka Kolej Rzeszy*) i próbę dostania się do Czortkowa. W tej sytuacji Adam nie pozwolił młodej dziewczynie na samotną podróż w tak niepewnym czasie. Wsiadł z nią do pociągu i towarzyszył jej w niebezpiecznej podróży

bocznymi liniami kolejowymi. Cali i zdrowi powrócili kilka dni później do Łazów, zaledwie kilka dni przed ponownym wkroczeniem Sowietów do Czortkowa.

Od kwietnia 1944 kresowi uciekinierzy musieli się włączyć się w rodzinne, wiejskie życie Budysiów, w tym i swego kuzyna Adama. W sierpniu 44 roku niemieckie władze okupacyjne w Bochni zadecydowały, że z każdego gospodarstwa rolnego musi być wyznaczony jeden członek rodziny do budowy linii obronnych, przede wszystkim do kopania okopów. Początkowo miał to być wujek Adam, ale to ja go zastąpiłem, gdyż Adam był bardziej potrzebny w gospodarstwie. Od sierpnia 1944 do stycznia 1945 front ustabilizował się na wschód od Tarnowa. W Łazach ciągle przebywały jakieś oddziały wojsk niemieckich. Prowadziły szkolenie rekrutów, naprawę uzbrojenia i sprzętu. Na Adamowej łące ćwiczoneo jazdę samochodów na gąsienicach, co doszczętnie rujnowało pole, z którego potem nie byłoby możliwości uzyskania siana. Ciocia Wisia uprosiła niemieckiego dowódcę, aby jazdę samochodów ćwiczoneo na polu dworskim, po drugiej stronie szosy. I tak się stało. W styczniu 1945 dla mieszkańców Łazów kończy się wojna. W Bochni i Krakowie zaczyna się organizowanie pokojowej administracji. Adam też zaczął rozglądać się za pracą w zawodzie. Na znalezienie stałej pracy dla kaflarza na wsi raczej nie mógł liczyć. Rowerem z kampanii 1939 objeżdżał więc okoliczne wioski i miasteczka. Latem 1945 roku, w porze wakacji pojechałem do Nysy, gdzie mieszkała już Wisia. Przywiozłem stamtąd, oczywiście jako „szaber”, dobry, ponemiecki rower, który odtąd zaczął służyć Adamowi. Można żartobliwie powiedzieć, że sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Jeszcze dwa razy podróżowałem z Bochni do Nysy, przywożąc Adamowi wyszabrowane na „ziemiach pozyskanych” drzwiczki do pieców kaflowych, bo tego towaru w Bochni był ogromny deficyt. W 1946 r. wrócił Wilek zwolniony z wojska, też kaflarz. Nie zapominajmy, że wówczas w Łazach był także kolejny z kresowych kaflarzy, czyli Feliks Budyś. Oczywiście wszystkim w znalezieniu roboty dopomagał wujek Adam i pomalutku odbudowywał załogę czortkowskiej firmy kaflarskiej, tyle że już bez jej

szefa. Jan Siegel udał się bowiem na Ziemię Zachodnie, by tam szukać dla siebie swojej fabryki kafli.



Spotkanie rodzinne w Łazach u Wujka Adama - około 1970 roku Od lewej: Ludwika Siegel, Wujek Adam, Katarzyna i Józef Budysiowie, Tatiana – c. Franciszka, Franciszek Siegel.

A my wróćmy do wujka Adama w Łazach. Przez wiele lat aktywnie pomagał „nowym” członkom rodziny. Niósł pomoc Feliksowi z jego liczną i jeszcze rozwijającą się rodziną w Łazach. Wilkowi, który z wojny nie mógł powrócić do Czortkowa, tylko w Bochni mógł szukać miejsca dla siebie. Znalazł. I to nie najgorzej, bo już po trzech miesiącach był małżonkiem Ludwiki Budyś, siostry swego szwagra Feliksa. Pomimo tego, że Wilek z Ludwiką zaczęli od zera, to ten zerowy stan rodzinny nie trwał długo. Wilhelm mocno wszedł na bocheński „rynek prac kafłarskich”. W 1947 roku urodziła się im córka Elżbieta. Z pomocą wujka Adama młode małżeństwo Siegelów wynajęło od pani Nakielnej pokój sublokatorski, a potem, po kupieniu od niej działki rozpoczęło budowę domu. Nie muszę dodawać, że w tej inwestycji Adam pomagał bardzo efektywnie. Po ukończeniu budowy Wilek z Ludwiką zasiedlili

dom pełną rodziną 2+3, gdyż na świat przyszli jeszcze ich dwaj synowie: Janusz (1951 r.) i Jurek (1958 r.). Nic więc dziwnego, że moje dzieci Joasia i Piotrek chętnie spędzali wakacje w Bochni u cici Lusi, jak wszyscy nazywali Ludwikę.

Dlaczego w tej opowieści łączę wujka Adama z domem Wilka w Bochni? Otóż Joasia i Piotrek z Jurkiem w każdą wakacyjną niedzielę wychodzili razem do kościoła, a po wyjściu przed kościelnymi drzwiami tradycyjnie czekał na nich wujek Adam obdziałając ich paczuszkami słodczy nazywanych „Michałkami”. Do dzisiaj wspominają frajdę, jaką im sprawiał. Dzieciarnia celebrowała słodkości zabawą polegającą na przelicytowywaniu się, które z nich najdłużej zachowa niezjedzonego „Michałka”. Kiedy już bliscy Adama jako tako „stanęli na nogach” on sam też zaczął budowę swojego domu w Łazach. Delegacyjny charakter pracy zduna, a także w niemałym stopniu jego samarytańska dusza sprawiały, że właściwie w nim nie zamieszkał. A to wynajął dom na hodowlę jedwabnika, a to młodzież urządzała sobie w nim potańcówki nazywane wtedy prywatkami itp. Przez pewien czas w domu wujka Adama zamieszkiwało młode małżeństwo: Marysia (z d. Setner, c. Anny z d. Budyś) i Tadeusz Krawczykowie. Również ciocia Jula Flasińska przebywała tam w czasie choroby. Będąc już po sześćdziesiątce, około 1968 roku, Adam wybrał się do Szczecina, aby odwiedzić tamtejszych Siegelów. Wraz z dziećmi, Joasią i Piotrkim zabraliśmy go na wycieczkę samochodową po Pomorzu. Po drodze wstąpiliśmy do Świnoujścia, gdzie wtedy prowadziłem budowę jednej z morskich inwestycji. Jakież było zdziwienie Adama na widok otwartej morskiej przestrzeni. Człowiek, który całe dorosłe życie ciężko pracował, dopiero wtedy widział morze i poznał smak morskiej wody.

Kilka lat później Adam zachorował. Lekarze ze szpitala w Bochni przez kilka miesięcy nie mogli ustalić jego jednostki chorobowej, więc skierowali chorego do szpitala w Krakowie. Tam również nie notowano poprawy jego zdrowia. Wraz z żoną Danusią odwiedziliśmy go w krakowskim szpitalu. Zaproponowaliśmy lekarzom załatwienie Adamowi leczenia w Szwajcarii. W owym czasie

Danka miała takie możliwości w państwowej służbie zdrowia z „najwyższej półki”. Jednak lekarze z Krakowa odradzili podejmowanie starań, sugerując, że nawet i tam terapia będzie nieskuteczna. W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia w 1974 roku otrzymaliśmy wiadomość o śmierci wujka Adama. Byliśmy na jego pogrzebie na cmentarzu w Brzeźnicy z całą rodziną oraz bardzo licznym gronem jego przyjaciół, sąsiadów, znajomych i mieszkańców Łazów. Spoczął na wieczność obok swojego ojca Karola. Był postacią niezwykle ważną w rodzinie Budysiów i Siegelów. Z uwagi na charakter wujka Adama, bez wątplenia przyjmujemy, że jest w Niebie, bo tylko tam jest jego miejsce. Był to zawsze „anioł stróż” dla potrzebujących. Cdn.

Jerzy Stopa

Warszawa

Wspomnienia

Cz. II

Na rogu ul. Tarnowskiego i Baworowskiego stała latarnia elektryczna, która oświetlała to „skrzyżowanie”. Tu w porze letniej urządzaliśmy następujące zabawy. Na środku chodnika w miejscu dobrze oświetlonym kładliśmy cegłę, a obok niej imitację szczura ze szmat z długim ogonem. W takim oświetleniu najgorsza imitacja dobrze zdawała egzamin. Ten szczur oczywiście uwiązany był na długim sznurze, który odpowiednio ciągnięty w momencie, gdy ktoś się zbliżał, do złudzenia przypominał szczura. Reakcje przechodniów były przeróżne. Od pisków, przez ucieczki, strachy, do nieraz kłopotliwych dla nas sytuacji. Zdarzyło się bowiem raz, że pewien przechodzień – starszy pan z laseczką na spacerku odwrócił ją i usiłował przyłożyć szczurowi, ale on zręcznie pociągany umykał. Tak się skradał, tak czule do niego przemawiał, ale co za rozczarowanie, gdy nam się sznur skończył, a laska zawisła nad naszymi głowami - musieliśmy się salwować ucieczką. Zmienił się

ton i treść przemówień dziadka, który, po zorientowaniu się, usiłował sobie powetować na nas – nie udało mu się.

Na ulicy 3-go Maja, naprzeciwko I Gimnazjum był sklep z butami firmy „Bata”. Buty tej firmy zawsze w pudełku prostokątnym, pakowane były w papier z napisem „Bata” pod kątem 45 stopni i obwiązane sznurkiem. Zabawiając się wieczorami „szczurem” zauważyliśmy, że ludzie na wsi opuszczający miasto wieczorem byli prawie obojętni na „szczura”. Wpadliśmy na kolejny pomysł, by wziąć z domu takie pudełko, papier i sznurek i upozorować zagubione buty. Pudełko oczywiście na bardzo długim sznurku rzuciliśmy na chodnik. Napotkała jej jakaś kobieta, obejrzała się, nie zobaczywszy nikogo szybko wrzuciła zdobycz do koszyka i poszła dalej, my kilkanaście metrów za nią. Zaczęliśmy lekko ciągnąć za sznurek, potem mocniej, buty jakby ożyły; w końcu przerażona rzuciła buty razem z koszykiem i jego zawartością. Sama pędem wybiegła z miasta. Ponieważ był to za gruby żart, więcej go nie powtarzaliśmy.

Kiedyś elektrownia miejska zdecydowała się postawić transformator w rogu naszego ogrodu (widać go na makiecie). Gdy ojciec wrócił z pracy zdziwiony pracami przy stawianiu fundamentów spytał mojego brata Mariana (miał on wówczas poniżej 10 lat): „co tam robią?”. Na to brat odpowiedział, że to się bardzo brzydko nazywa. „Ale co?” zapytał zaciekawiony podwójnie tato. „Jakiś *naser mater*” - odpowiedział brat. Trudno się dziwić dziecku, że nie znał fachowych nazw nowoczesnych, jak na owe czasy urządzeń (inne przecież znał).

Do szkoły powszechnej im. J. Słowackiego chodziłem ulicami Tarnowskiego, Ruską i Brucknera. Codziennie przez 6 lat przechodziłem obok kościoła parafialnego, który stał u zbiegu ulic Tarnowskiego, Ruskiej i Mickiewicza. Był to piękny kościół w stylu neogotyckim zaprojektowany przez prof. Talowskiego. Kościół ten bardzo lubiłem i często wstępowałem tam, a szczególnie na rekolekcje czy majówki, na które chodziłem z moją babcią Kasią. Trzeba wiedzieć, że pierwsze nabożeństwa majowe w Polsce wprowadzili jezuici w 1838 r. właśnie w Tarnopolu, później ks.

Goliasz w 1866 r. w Krakowie. Kościół ten moim zdaniem jest jednym z rekordzistów, jeżeli chodzi o najkrótszy czas działania. W 1908 r. zakończono jego budowę, a w 36 lat później został spalony przez wkraczające oddziały sowieckie.

Kościół parafialny uwiecznił Jerzy Masior w wierszu pt.: „Te strony świata”, którego pierwsza zwrotka brzmi:

Tarnopol miał odbicia od chmur i od fary,
Pannę młodą po sadach,
W gruszach narzeczone,
A czerechy na świeci mał tylko Kliparów
Żółkiew kamienny alfabet
... itd.

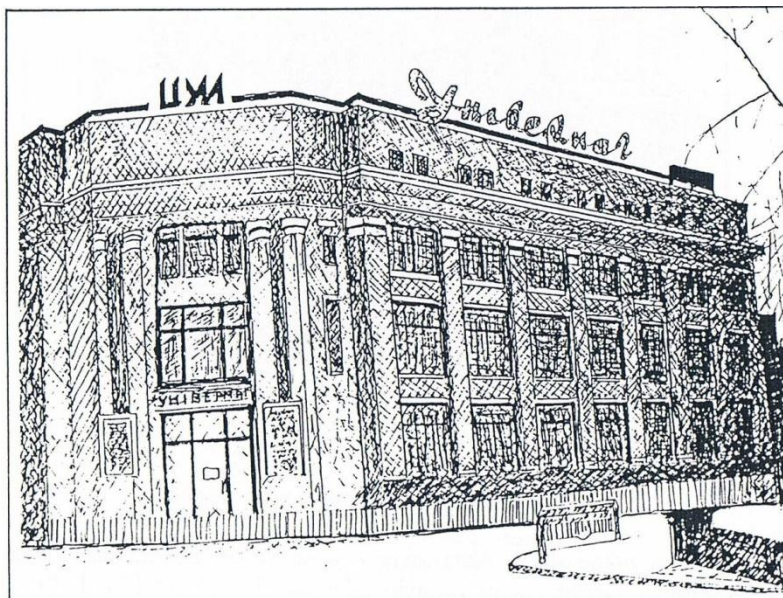


*Spalony w 1944 kościół
parafialny*

Ulica Tarnowskiego, a także Ruska, w początkach istnienia miasta nazywała się Kamieniecką. Tędy bowiem wiódł gościniec do stolicy Podola – Kamieńca Podolskiego. W okolicy cerkwi u zbiegu Zacerkiewnej i Brucknera stała Brama Kamieniecka, przez którą wchodziło się do grodu. Potem ul. Tarnowskiego nazywała się Smykowiecką. Również ul. Brucknera dawniej zwana była Wałową (od wałów, które tam były). Teraz na fundamentach kościoła parafialnego stoi dom towarowy.

Kościółem, do którego chodziliśmy całą szkołą, był barokowy kościół oo. Dominikanów. Wieże tego kościoła w 1940 roku zostały spalone. Figura Matki Boskiej Zwycięskiej z prawego bocznego ołtarza tego kościoła obecnie znajduje się w Warszawie w kościele oo. Dominikanów przy ul. Freta. Kościół oo. Dominikanów zafundował miastu Józef Potocki w 1749 r. Jego projektantem był archi-

tekt-amator August Moszyński – przyjaciel króla Stanisława Augusta. Fundator wkrótce zmarł, dopiero wnuk Franciszka i jego bracia dokończyli dzieło. Poświęcenie miało miejsce w 1779 r.



*Znajdujący się obecnie w miejscu kościoła parafialnego
dom towarowy*

W Tarnopolu był też kościół oo. Jezuitów. Po wojnie jego fundamenty i mury Rosjanie wykorzystali do zainstalowania tam fabryki. Pozostało niezmienione jedynie główne wejście.

W szkole powszechnej wychowawcami moimi w ostatnich dwóch latach byli: pan Czubyty w klasie 5 i pan Edmund Kaczkowski w klasie 6. Dyrektorem szkoły był pan Józef Czabanowski, a w ostatnich dwóch latach pan Paweł Sakaluk. Z nauczycieli pamiętam tylko niektórych: pana Włodzimierza Olejnika, który uczył nas robót ręcznych, pana Pastuszenko – rachunków i ks. Czubskiego. Geografii uczył nasz wychowawca pan Kaczkowski. Z kolegów to przede wszystkim Leszek Onychir, który przypominał mi: Tazia

Badnera, Romka Wołkowa, Kazika Knispla, Poldka Skwiruta, Zbyszka Janika, Polisiuka.

Z podwórka szkoły widoczny był budynek więzienia, które w czasie wojny było świadkiem okrutnej tragedii.

Jesienią i zimą idąc do szkoły często kupowałem prażone na świeżym powietrzu „dyńki” (obecnie nazywają się pestkami). Tutejsze pestki nie umywają się do naszych dyniek. Może były mniejsze, ale za to trzy razy grubsze i smaczniejsze. Gdy dostałem od rodziców 5 groszy na swoje wydatki, to często idąc do szkoły wstępowałem na pl. Kazimierzowski do jatki i kupowałem skwarki. Dziś wiem dlaczego mam kłopoty, by napisać wspomnienia z ostatnich lat. W 1939 r. te 5 groszy umożliwiło mi zakup w sklepie kolonialnym Mańka Wassera czterech papierosów tzw. cienkich. Z Mańkiem Wasserm mieliśmy osobliwą umowę. On nie mówił rodzicom o kupowaniu czterech cienkich, a ja za to, jak tylko wysłano mnie po zakupy, robiłem je u Wassera. Sklep sprzedawał wszystko, jak to się mówiło „Szwarc – mydło i powidło”.

Kiedyś bawiąc się w ogródku, między pomidorami znalazłem w ziemi pięćdziesięciogroszówkę. Aby pomnożyć ten skarb natychmiast poleciałem do Mańka Wassera i rozmieniłem na 10 pięciogroszówek. Był to dla mnie ciężki skarb. Innym razem znalazłem carską trzykopiesówkę miedzianą.

Gdy nie miałem 5 groszy, wówczas z Kazikiem Stecem uciekaliśmy na boisko i tam próbowaliśmy palić papierosy z siana lub z liści, ale strasznie były piekące. Innym źródłem zaopatrzenia w tytoń, czy w papierosy był szwagier Kazika, pan Gallos. Kazik zaproponował, lub on jemu, że możemy robić papierosy przez nabijanie tutek. Szwagier Kazika dawał tutki najczęściej firmy „Morwitan” (nazwę zapamiętałem z reklamowego hasła „Morwitan pali się najlepiej, Morwitan kupisz w każdym sklepie, Morwitan kup”) oraz tytoń w paczkach po 25 gram „przedni”, „średni” czy „najprzedniejszy”. Robiliśmy zgodnie z jego zaleceniem mieszankę dostarczonego tytoniu i za pomocą maszynki wprowadzaliśmy ją do tutek. Nie muszę wspominać, że twardych papierosów nie robiliśmy i zawsze z takiej setki papierosów coś nam zostawało. Pozostał pro-

blem, jak mieć ogień oraz, co robić, by rodzice nas nie nakryli. Nie zawsze się to udawało, czasem trzeba było nadstawić to i owo. Pamiętam pewnego razu, z bratem Marianem wpadliśmy na niezbyt szczęśliwy pomysł, by pójść do ubikacji ze świecą i tam palić papierosy, a w domu było światło elektryczne. Jak wyszliśmy trzeba było chuchnąć, a potem matka nam obu „chuchnęła”. Takie były, jak widać, ciężkie moje początki palenia papierosów.

Pierwszy raz na tzw. wakacje wyjechałem w 1938 r. do Czortkowa, do znajomych rodziców - inż. Baraniewskiego, który miał swoją willę na Wygnance. Po przeciwnej stronie ulicy, przy której mieszkałem, był duży sad owocowy, bardzo zarośnięty i zaniedbany w tej części. Tam chodziłem na orzechy włoskie. Mimo że zielonej skórki nie zdejmowałem, a tylko częściowo ścinałem, by dostać się do orzecha - to palce miałem ciemnobrązowe przez długi czas, a nawet trochę dalej i rozcięte (do wesela się zagoiło).

Do harcerstwa należałem krótko. Pilnie uczęszczałem na zbiórki drużyny. Pewnego razu zaplanowano jednodniową wycieczkę. Zaopatrzeni w plecaki ruszyliśmy w godzinach popołudniowych prowadzeni strzałkami i listami ukrytymi po drodze do lasu w Petrykowie. Po przybyciu na miejsce żwawo rozpoczęliśmy stawianie namiotów. Wszystko odbywało się bardzo wesoło, szczególnie smakowała kolacja, przyjemnie było przy ognisku śpiewać pieśni harcerskie. Gorzej było, gdy trzeba było stać na warcie samemu, w ciemną noc w lesie. Pamiętam, że nad ranem powstał straszny rumor, namioty się zawaliły. Przerażeni wyskoczyliśmy spod namiotów, okazało się że linki namiotów były naciągnięte nad leśną ścieżką, którą, niczego nie przypuszczając, jechał motocyklista nie mniej od nas przerażony. Wszystko dobrze się skończyło. Po zabawach w lesie wróciliśmy w szyku zwartym do domu.

Działalność sportową rozpoczęliśmy od strzelania z wiatrówki do tarcz. Czyja była wiatrówka, nie pamiętam. Tarcze można było zaklejać, tym bardziej, że nie tak często udawało nam się trafić do nich. Potem robiliśmy je sami. Gorzej było ze śrutem do wiatrówki, ale i z tym poradziliśmy sobie. Początkowo strzelaliśmy do tarcz przybitych do ścian komórki państwa Steców, potem racjonowali-

śmy strzelanie przez umieszczanie tarcz przed skrzynką z piaskiem, w którym śrut zatrzymywał się często nieuszkodzony i nadający się do ponownego użycia. Trzeba było tylko piasek dokładnie przesiać. Wykorzystywaliśmy do tego celu typowe skrzynki do transportu pomidorów. Miały one charakterystyczny kształt ostrosłupa ściętego o podstawie prostokątnej. Pomidory w takich skrzynkach przywożono najczęściej z Zaleszczyk i okolic.

Później chcieliśmy mieć własne boisko do gry w siatkówkę. Zapadła decyzja, że musimy się postarać o to własnymi siłami. Między podwórkami państwa Onychirów i Szagorów oraz Bachurskich z jednej strony a podwórkami państwa Steców z Opalińskimi i Jarosławskimi z drugiej, był stosunkowo szeroki pas ziemi niczyjej. Tam postanowiliśmy zrobić boisko. By móc napiąć siatkę z jednej strony wykorzystaliśmy ścianę komórki, z drugiej trzeba było zakać słupek. Na siatkę i słupek trzeba było mieć pieniądze, które postanowiliśmy uzyskać ze zbiórki i sprzedaży złomu żelaznego. Rozpoczęła się systematyczna penetracja mieszkań, podwórek i okolic w poszukiwaniu złomu. Co było żelazne i dało się zabrać, znosiliśmy w jedno miejsce. Szybko nasze tereny zostały przeszukane i ciągle było za mało. Rozpoczęliśmy po prostu grabież, gdzie się dało. Naszym łupem padły między innymi haczyki przy furtkach np. pana Bachurskiego, kołki stalowe podtrzymujące druty na balustradzie drewnianej, która okalała boisko sportowe i inne, o których ja nie wiem lub nie pamiętam. W końcu okazało się po sprzedaży Żydowi złomu, że wystarczy to nam na zakup sznurka i siatki. W tym czasie odbywała się duża naprawa ul. Tarnowskiego. Sznur furmanek jechał koło nas do miasta z tłuczniem i piaskiem. Namówiliśmy kilku furmanów, by zawalili nam ten towar na naszym boisku i w ten sposób skrócą sobie drogę, a pracowali na akord. I tak w ten sposób po utwardzeniu boiska rozpoczęliśmy permanentny trening piłki siatkowej. Graliśmy przeważnie dwóch na dwóch. Cdn.

kpt. *Wilhelm Ritter von Schramm*
tłum. *Hanna Fedorowicz - Salzburg*

Rozbite „Kanny” **Ostatnie dzieło wojenne generała broni Hube**

Ze wschodniego frontu – kwiecień

Przedruk z czasopisma: *Das Reich* nr.18, 30.4.1944 r.

Od redakcji: w 80 rocznicę walk sowiecko-niemieckich o Podole uznaliśmy, że warto czytelnikom przytoczyć ciekawe i nieznane wydarzenie z walk o nasze strony. Choć czasopismo "Das Reich" miało charakter propagandowy, to w zalewie niemieckiej prasy z tamtego okresu jest czasopismem z największym jeszcze obiektywizmem. W dwóch miejscach tekst ma lukę: w połowie tekstu i na zakończenie, niestety tylko taką kopią tekstu dysponowaliśmy. Jako ciekawostkę należy dodać, że dokładnie rok po ukazaniu się artykułu, w berlińskim bunkrze zakończyło się życie Adolfa Hitlera. Redakcja dziękuje p. Hannie Fedorowicz z Salzburga za tłumaczenie. Jeżeli w tekście nazwa miejscowości była inna niż polska, w nawiasie podajemy oryginalną nazwę miejscowości podaną w tekście, jak i na mapie.

W połowie lutego po wybiciu się grupy bojowej Stemmermanna z kotła w Czerkasach (Tscherkassy), stali wrogowie jakiś czas naprzeciw sobie, jak ciężko wzdychający zapaśnicy. Dopiero z początku marca odzyskali Sowieci siły po zadanych im ciosach, zbierając się do podjęcia od nowa decydującej ofensywy. Zgodnie z przewidywaniami niemieckiego dowództwa na podstawie zmasowanych sił pancernych, szli tym razem na całego. Wielki atak rozpoczął się 4 i 5 marca. Centrum działań leżało 4 marca wokół Szeptówki (Schepetowka), a na drugi dzień, na północnym wschodzie od Humania (Uman) naprzeciw niemieckiego frontu przebiegającego przez całą Ukrainę. Pomimo wielokrotnej przewagi wroga, udało się niemieckiemu wojsku go zatrzymać, najpierw na północy i północnym zachodzie od Proskirowa (Proskuroff) dzięki udanemu

kontratakowi i co najmniej zapobiec przecięcia głównej linii ruchu Tarnopol-Winnica (Tarnopol-Winniza). Odwrotnie, wrogie uderzenia z okręgu Zwinogórdka (Swenigorodka) w kierunku Humania szybko uzyskało teren. Gdy mocne sowieckie siły pancerne przekroczyły środkowy ukraiński Bug w trakcie głębokiego forsowania frontu, powstała poważna luka w niemieckiej linii obrony. W taki to sposób generał Hube, wtenczas dowódca w regionie Winnica, stworzył nowy obronny front skierowany na wschód i południowy wschód, zgodnie z operacyjnymi zamiarami najwyższego niemieckiego dowództwa przeciw wrogowi robiącego postępy na prawym skrzydle. Następnie udało mu się zadać co raz to mocne uderzenia i skupiając oddziały, planowo wycofać się w kierunku południowo-zachodnim. W ten sposób udało się zapobiec otoczeniu czy przebiściu linii obrony wypukłej na wschód aż do 20 marca, w końcu opuszczając Winnicę i Żmerynkę (Shmerinka), aby się osadzić na Dniestrze.

W międzyczasie powstało nowe kolosalne niebezpieczeństwo, w regionie między Proskirówem a Tarnopolem. Z wielokrotną przewagą wrogowi udało się tam przebić ugrupowaniami pancernymi pomiędzy niemieckie oddziały. Zatrzymane przed dojściem do Lwowa (Lemberg) przez siły okupujące Tarnopol, przejechało pięć sowieckich oddziałów pancernych i liczne oddziały piechoty 23 marca, między Zbruczem i Seretem na południe po części na Chocim (Hotin) i Kamieniec Podolski (Kamenez-Podolsk) (4 Sowiecka Armia Pancerna) na tyłach niemieckich sił, a po części w kierunku Czerniowiec (Tschernowitz), a by się tam zjednoczyć z inną armią pancerną, która w międzyczasie przekroczyła środkowy ukraiński Bug i niebawem też Dniestr przy Jampolu i Mohylowie Podolskim (Mogilew-Podolsk). Tak to 23 marca zostały odcięte siły zbrojne generała Hube od tylnej linii komunikacji, a wrogowi udało się sporą część niemieckich sił podwójnie otoczyć. Wydawało się tylko kwestią czasu, aż siły generała Hube zostaną wzięte w kłamrę, podzielone siłą wroga skruszone i całkowicie zniszczone.

W ten sposób zaczęła się 23 marca 1944 r. w dawnym galijsko-sowieckim pasie granicznym między Dniestrem a Zbruczem

dramatyczna walka. Z jednej strony przewaga ludzi i materiału, z drugiej strony stary wiecznie młody żołnierski duch i świadomość wśród dowództwa oraz żołnierzy osobistego wysiłku. Najbliżsi akolici generała Hube sformułowali następującą myśl w tych ciężkich dniach: „Nie ma beznadziejnego położenia, są tylko ludzie bez nadziei, a do takich nie należy niemiecki żołnierz”. Niemieckie dowództwo zdawało sobie sprawę z tego, że tu tylko doskonalszy plan i energiczne działanie pomogą. Powzięto decyzję zostać w ruchu, pomimo otoczenia, by otworzyć drogę do wolności, jakie nie byłyby koszty.

Od 23 marca oddziały niemieckie koncentrowały się coraz bardziej wokół Kamieńca Podolskiego systematycznie odpierając wszelkie próby rozłamania ich, ściśle słuchając dowództwa, jednocześnie broniąc przyczółkiem przeprawy przez Dniestr. Niestety 26 marca ostatnie wolne połączenie z Bukowiną pada po zajęciu Czerniowiec przez Sowieców. Oddaleni o co najmniej 200 kilometrów od najbliższego niemieckiego punktu lotniczego, oddziały niemieckie zostają asekurowane tylko drogą powietrzną. Również żywioły wydają się sprzymierzone ze sobą przeciw Niemcom. Za dnia walcząc, a nocą maszerując, opędzają się od burz śniegu i zasp. Nagle następuje odwilż. Ulice zamieniają się w głębokie moczary. Niejeden pojazd tonie w błocie i zostaje opuszczony.

Jak gigantyczny jeź z ostrymi kolcami wystawionymi we wszystkich kierunkach, atakując na zachodzie, broniąc się na północy i na wschodzie, przemieszcza się masa niemieckich oddziałów do przodu, używając przeszkody Dniestru jako naturalnej bazy. Wróg tymczasem atakuje na wschodzie i na północy, robiąc postępy na wschodzie. Poprzez uderzenie 4-tej Armii Pancerniej na południowy wschód udaje się wrogowi zająć Kamieniec Podolski i tym samym postawić niemieckie oddziały w bardzo ciężkiej sytuacji. Lecz w następujących dniach oddziały pancerne wroga zostały rozbite i zamknięte w mieście.

Powstaje rzadka sytuacja, że Sowieci, próbując dokonać otoczenia, sami zostają odcięci i muszą również liczyć na wsparcie sił powietrznych, niedaleko niemieckiego punktu lotniczego. Te

oddziały 4-tej Sowieckiej Armii Pancernej, które próbują Niemców zatrzymać, zostają po prostu przytłoczone.



Wineta i plan operacji zamieszczona w czasopiśmie „Das Reich”

Największym problemem, również dla Sowietów, jest zaopatrzenie.

W ostatnim tygodniu marca panują opady śniegu, posuwając się do przodu wojsko musi jednocześnie zmieniać miejsca lądowania. Nakładają się na siebie trudności nie do pokonania. W tej sytuacji generał Hube wydaje rozkaz: bezwarunkowo pozostawić nie-

istotny bagaż, by każdą kroplę benzyny zachować dla wozów pancernych i lawet samojezdnych, aby móc przeprowadzić zamierzoną operację. W chwili najwyższego zagrożenia chodzi wyłącznie o to, by zachować mobilność oddziałów, nawet kosztem materiału.

Udaje się też ruch po (...) (brak części tekstu)

(...) co zostaje udaremnione na północnym Zachodzie. Uduje się to pomimo tego, że trudności z zaopatrzeniem wymagają ścisłego ograniczenia amunicji dla piechoty.

23 marca wymusił ostatnią i trudną decyzję od niemieckiego dowództwa. Czy przedostać się na zachód wzdłuż Dniestru lub na południe przez przyczółek w Chocimiu? Południe oferuje mniej trudności i mogłoby umożliwić wycofanie się do Rumunii. Lecz wtenczas zabraknie setki tysięcy niemieckich żołnierzy do obrony Generalnej Guberni. W końcu decyzja pada, wybrano trudniejsze przełamanie się na zachód, by w Galicji dobić do pozostałych oddziałów niemieckiego frontu, licznie zmasowanych na południowy zachód od Tarnopola. Są one jednak jeszcze oddalone o 200 km. Po drodze leżą liczne odcinki rzek prostopadle przecinające kierunek marszu. Wskazując na mniemaną beznadziejność sytuacji, sowiecka strona wzywa do kapitulacji, co nie robi najmniejszego wrażenia, ani na wojsku, ani na dowództwie. W końcu zagrożono, po nieuniknionym upadku niemieckiej obrony, zastrzeleniem wszystkich żołnierzy w razie, gdyby się wcześniej nie poddali.

W międzyczasie nastąpił kwiecień. Mocna odwilż utrudniała poruszanie się. Tym niemniej z elementarną siłą szli dalej. Podczas wezwania wroga do kapitulacji pokazały się pierwsze chwile udanych akcji. Wróg się wyraźnie przeliczył co do kierunku marszu niemieckich oddziałów, uważając to za niemożliwe, że się między sowieckimi siłami przebiją, zamiast kierować się na południe. Na dodatek, przez odcięcie komunikacji na tyłach, został uniemożliwiony poważniejszy ruch wroga. Przyczółek nad Zbruczem został niespodziewanie stworzony i droga do Czortkowa (została) otwarta. Za niedługo przekroczono też Seret. Nagle udane wycofanie się, zostało zagrożone przez liczne wozy pancerne przekraczające Dniestr w kierunku północnym na północnym Wschodzie od Horo-

denki. Lecz ten atak został również udaremniiony. W międzyczasie dotarły niemieckie siły z drugiej strony prawie do Złotej Lipy. W końcu, 8 kwietnia o 17.05, podały sobie ręce pierwsze oddziały generała Hube i oddziały SS wysłane w kierunku zachód-wschód nad rzeką Strypą koło Buczacza. Po czternastodniowej walce udało się wielkiemu wojsku wybić się ze śmiertelnego okrążenia przez Sowieców. Oczywiście trzeba było jeszcze długich nocnych walk, aż ostatecznie oddziały dołączyły do głównej formacji. Jednocześnie została stworzona nieprzerwana linia frontu z północy na południe od Dniestru aż po Brody, co zmusiło sowieckie oddziały do zatrzymania się.

We wszystkich tych najtrudniejszych warunkach nieustannie szedł od jednorękiego generała Hube strumień zaufania, roztropności i zapału, połączony z ojcowską pieczołowitością przechodząc na wszystkich wojaków w kotle, trzymając ich twardo razem. Najwyższa wojskowa kompetencja złączyła się z najlepszymi moralnymi cnotami tak wśród żołnierzy, jak i w dowództwie. Zamknięci w kotle, żołnierze nigdy nie czuli się stopniowo przygniecenii, mogli się wciąż przesuwać do przodu, wsparci przez lotnictwo w najgłębszych zaspach śniegu. Też nie zostały zerwane linie komunikacyjne w środku przesuwanego się z dnia na dzień kotła, nawet po ścisłym okrążeniu, tzn. dalekosiężne połączenia z najwyższymi zewnętrznymi władzami. Tylko w ten sposób, tak energicznie dowodzone, mogły każde z szybko zmiennych wydarzeń w kotle być natychmiast wzięte pod uwagę przez dowództwo, aby wdrożyć w życie konieczne posunięcie. Dzięki temu nigdy nie powstała panika czy rozproszenie. Również liczba strat pozostała niska.

Próba Sowieców stworzenia „Kanny” generałowi Hube i jego oddziałom nie tylko poszła na marne, ale przeciwnie, nastąpiły poważne straty przeciwnika, rozbite oddziały na szerokim froncie, 357 wozów pancernych, 42 bojowych działów i 279 działów armatnich zdobytych lub zniszczonych. Dzięki ich olbrzymiej przewadze materialnej, wkroczyli Sowieci do Galicji i mogli zająć wielkie części Bukowiny, ale (...) (brak części tekstu)

Od redakcji: gen. Hans-Valentin Hube, który, co trzeba wrogowi oddać, w pięknym stylu uratował swoje oddziały od rozbięcia, niedługo cieszył się jednak ze zwycięstwa. Zginął w katastrofie lotniczej 21 kwietnia 1944 w czasie lotu do Berlina, w trakcie międzylądowania w Salzburgu. Zginął w momencie, kiedy był u progu wielkiej kariery - otrzymał brylanty do Krzyża Rycerskiego, awans do stopnia generała-pułkownika (generaloberst) oraz był wśród typowanych kandydatów na stanowisko naczelnego dowódcy sił lądowych. Pochowany został na Cmentarzu Inwalidów (Invalidenfriedhof) w Berlinie, grób zachował się do dziś.

Nazwa artykułu pochodzi od bitwy pod Kannami z 216 roku p.n.e, kiedy to dwukrotnie mniejsze siły barbarzyńskiego wodza Hannibala okrążyły i zniszczyły wojska rzymskie. Taktyczny plan Hannibala, znany jako „manewr kannaeński”, stał się na przestrzeni wieków wzorem do naśladowania dla adeptów szkół wojskowych. O jego doskonałości świadczy fakt, że był wielokrotnie wykorzystywany przez najwybitniejszych wodzów.

Igor Megger
Poznań

„Nasza Pani Tarnopolska” w Poznaniu

**Historia obrazu, przed którym odprawiono pierwszy raz na
ziemiach polskich nabożeństwo majowe**

Cz. I

*W obłokach otoczona aureolą anielskich główek, z Dzieciąt-
kiem Jezus przy piersi, spoczywa nieba i ziemi Królowa. U dołu
wyrasta krzew róży, aniołowie wiją z niego wieńce, to znowu ukła-
dają różańce i podają je Najświętszej Paniencie. Dziecię Jezus róża-
niec trzyma w lewej rączce, a zarazem spogląda pełne majestatu i
powagi na ziemię. – Ojciec Konstanty M. Żukiewicz (1874–1948)
[w:] *Królowa Różańca św. w Kościele i Polsce*. Tom II, Lwów
1935.*

W poznańskim kościele ojców Dominikanów znajduje się jedna z cenniejszych w tym mieście pamiątek związanych z Kresami Południowo-Wschodnimi, cenna nie tylko z racji jej wieku, wartości artystycznej, ale i z racji ładunku emocjonalnego, który ona przenosi. Mowa o znajdującym się w nim obrazie Matki Bożej Różańcowej z kościoła Dominikanów w Tarnopolu.

W materiałach przeze mnie zebranych nie ma określenia dokładnej daty powstania tegoż obrazu. Został ufundowany prawdopodobnie przez rodzinę Potockich, a namalowany został we Włoszech. Przepuszczalnie powstał w tym samym czasie, co kościół dominikański wraz z klasztorem – był to rok 1779. Kościół Dominikanów w Tarnopolu, który szczęśliwie dotrwał do dziś, stanowi jeden z największych zabytków późnego baroku województwa tarnopolskiego. Niestety, po upadku ZSRR nie został oddany prawowitym właścicielom, natomiast siłą został zajęty przez grekokatolików, klasztor zaś stał się archiwum obwodowym. Katolicy w Tarnopolu, pomimo iż przed wojną posiadali trzy kościoły katolickie, nie odzyskali żadnego (jeden z nich został wysadzony w latach 50.) i nabożeństwa odbywały się w kaplicy cmentarnej. Dopiero w 2009 roku zostały przeniesione do nowo wybudowanego kościoła przy prospekcie Bandery (sic!), w którym znajduje się kopia obrazu.

Wróćmy jednak do czasów dawniejszych. Kościół i obraz w XVIII i XIX w. kilkakrotnie zmieniał opiekunów. Niedługo po konsekracji kościoła cesarz austriacki Józef II skasował na terenie Austrii zakon Dominikanów¹ – musieli oni przenieść się do Żółkwi

¹ Dekret z 1792 roku o kasacji wszystkich zgromadzeń męskich i żeńskich niezajmujących się szkolnictwem. Zlikwidowano wtedy ok. 700 domów zakonnych gromadzących blisko 38 tysięcy zakonników i zakonnice. Pomimo tego cesarz Józef II uważany jest jako reformator oraz odnowiciel Kościoła Austrii, chciał bowiem pokryć kraj możliwie jak najgęstszą siecią parafialną, tak aby z każdej miejscowości można było w ciągu godziny dojść do kościoła. W latach 1782–1783 utworzono 800 nowych parafii. Towarzyszyło temu burzenie tych kościołów, które nie pasowały do cesarskiego schematu. Proboszczowie mieli być w zamysłach Józefa II urzędnikami państwowymi. Z ambon mieli odczytywać i objaśniać rozporządzenia cesarskie, szerzyć wiedzę rolniczą i medyczną, zwalczać przesady, nawoływać do pracowitości i moralności oraz uczyć młodzież.

koło Lwowa. Na ich miejsce przybyli jezuici, których zakon skasował car rosyjski². Władze austriackie przekazały jezuitom na siedzibę właśnie kościół Dominikanów w Tarnopolu. Okres tych zawirowań trwał do roku 1903, kiedy do Tarnopola wrócili dominikanie. Jezuici w 1908 roku wybudowali dla siebie nowy kościół (po 1945 przerobiony na fabrykę). Obydwa zgromadzenia dbały o kościół i klasztor, prowadziły remonty i wyposażały wnętrza.

To dzięki jezuitom w Polsce utrwaliła się tradycja nabożeństw majowych. Ich celem było pokazanie parafianom piękna cudownych wizerunków Matki Boskiej, które stawiano w ołtarzu głównym. Pierwsze nabożeństwa majowe na ziemiach polskich odbywały się od roku 1827 w Tarnopolu i przeznaczone były dla uczniów gimnazjalnych. Msze te wprowadził ojciec Franciszek Ksawery Asum. W 1836 roku zaczęto je praktykować w Starej Wsi, a od roku 1832 (lub 1837) we Lwowie. Z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa, graniczącą z pewnością, przyjąć należy, że nabożeństwo odbyło się przy omawianym przeze mnie obrazie. Ojciec Święty 29 września 1930 roku udzielił odpustu 300-dniowego za każde wezwanie: „Pani Nasza Tarnopolska, módl się za nami!”.

Obraz znajdował się u czoła prawej (południowej) nawy bocznej kościoła, gdyż w centralnym miejscu znajdował się obraz patrona kościoła – św. Wincentego Ferreriusza. Obraz Matki Bożej zdobiony był koronami (ale niekoronowany) oraz wieloma wotami pochodzącymi jeszcze z XIX wieku.

I wojna światowa i walki polsko-ukraińskie spowodowały ostrzał świątyni, ale w przeciwieństwie do innych budynków kościoła szczęśliwie ocalał. Jednak nie obyło się bez dramatycznych

Cesarz drobniogowo uregulował organizację parafii i diecezji, ingerując nawet w porządek nabożeństw. Rozwiązywał bractwa religijne, zakazywał procesji i pielgrzymek. Ze względów oszczędnościowych określał nawet, ile świec może palić się na ołtarzu.

² Jezuitów skasował papież Klemens IV w 1773 roku na całym świecie prócz Prus i Rosji, które sprzeciwiły się temu. Zakon odnowiony został w 1814 roku, co spowodowało sprzeciw cara Aleksandra I, który w 1820 roku wygnał ich z Rosji. Decyzja cara podyktowana była tym, że chciał w Rosji utworzyć w Połocku „centralę” jezuicką.

chwil. Zachowała się relacja o głębokiej wierze w MB Różanicową w 1919 roku, przechowana przez Ojca Żukiewicza:

„Było to dnia czwartego, w pierwszą niedzielę maja 1919 roku, gdy kościół polski święcił uroczystość swojej Królowej, a zakon dominikański obchodził pamiątkę 500-letnią zgonu świętego Wincentego Ferreriusza, szczególnie uroczyście w Tarnopolu, jako patrona swojej świątyni. O godzinie dziesiątej wieczór przyszli żołnierze ukraińscy, z najeżonymi bagnetami, wzywając mię, abym natychmiast stawiał się do sądu wojskowego. Sytuacja nie bardzo miła dla nikogo, kto zetknął się, chociażby raz i to z daleka, z hajdamakami, a cóż dopiero w połowym sądzie.

Poleciłem się gorąco Matce Boskiej Różanicowej, słynącej łaskami w naszym kościele, i świętemu Wincentemu, i spłynęła do duszy mojej dziwna ufność, że w dniu tak wielkim, Oni mię nie opuszczą, ale owszem, spełnią jakąś niezwykłą łaskę swoją. Noc była deszczowa i choć majowa, ciemna bardzo, szedłem w otoczeniu patroli i odmawiałem różaniec. Wstępując na salę sądową, dorozumiałem się, że chodzi tu o spowiedź przedśmiertną skazańca. Ale po co mię wołali? Wszak jest już administrator parafii ksiądz Eugeniusz Baziak. Przyszedł wezwany pod nieobecność komendanta Wołka, który zastawszy go już słuchającego spowiedzi, z niewiadomej przyczyny przerwał mu takową i zagroził wyrzuceniem. Wołek posłał patrol po mnie, ale ksiądz Baziak czekał, aby mi oddać Najświętszy Sakrament.

O, jak źle było Panu Jezusowi wśród tych hajdamaków, a rzekomo katolików. Żadnego stolika, gdzie by można złożyć „Sanctissimum”, żadnego światła, a dokoła kręcą się dzikie postacie Ukraińców, bez najmniejszego znaku uszanowania – jak gdyby ten Chrystus nie był ich Bogiem dlatego, że przyniósł Go ksiądz polski. – Potrzeba więc było wziąć Pana Jezusa na piersi i tulić Go do siebie. Gdzie mam spowiadać? – zapytałem. – Ot, tutaj na sali – odrzekł komendant i wskazał mi na stojący pod drzwiami tapczan i na klęczącego przed nim młodego chłopca, Rudolfa Popiela. Jak to tutaj? – mówiłem. – Wśród tyłu świadków? Zaprowadźcie mnie do więziennej kaplicy lub osobnej celi. – Innego miejsca nie ma – od-

powiedział oficer. – Jak ksiądz chcesz spowiadać, to spowiadaj, a jak nie, to się obejdzcie! – Więc nie było rady i zacząłem spowiedź...

Skończyłem spowiedź i już miałem mu podać Komunię świętą, wtem myśl przeleciała mi przez głowę: czy prócz ciebie nikt więcej nie jest skazany na śmierć? Och! Jest jeszcze drugi, była odpowiedź i to jest ogromną męką moją. Ja wiem, że będzie tak, jak mówiłeś, ojczu, Matka Boska weźmie mię do siebie, ale on w nic nie wierzy, a jest bardzo szlachetnym chłopcem, on może zginąć, jak zwierzę... I to jest, co mi zatruwa tę chwilę ostatnią! Chłopiec był jak lilia czysty, tę mający winę, że kochał Polskę i dlatego był skazanym na śmierć! Żadnej broni nie znaleziono u niego, jednak go o to skazano i nahajkami wyznanie wymuszono... Jaką siłą zachowałeś tak czystą duszę, wśród tylu ponęt do złego, wśród nieprawienia tej okrutnej wojny? – pytałem chłopca. – Ojczu, – odrzekł – w waszym kościele jest taki śliczny obraz Matki Boskiej Różańcowej, tam modliłem się często bardzo... – Módl się, – odrzekłem – módl się gorąco do Matki Boskiej Różańcowej. Komunii świętej w tej chwili ci nie dam, bo mam tylko jedną Hostię, więc muszę ją między was obu podzielić. Ofiaruj te ciężkie chwile twoje za jego nawrócenie, a zobaczysz, pójdziecie razem do Matki Boskiej!...

Czy już nie ma więcej nikogo do spowiedzi? – zapytałem oficera. – Ot, jest jeszcze jeden skazaniec – brzmiała odpowiedź i wskazał na młodego człowieka, stojącego wśród żołnierzy. Był to ukończony student filozofii, Jerzy Dmytrów. Zbliżyłem się do niego z zapytaniem, czyby się nie chciał pojednać z Bogiem? Odpowiedział mi pełen spokoju: Proszę księdza nie odbierać mi odwagi. Ukochałem Polskę i ona była jedyną ideą mojego życia, śmierć moja niech będzie dowodem jak ją kochałem i jak jej służyłem. A ze śmiercią skończy się wszystko, bo poza nią nic nie ma i ja w nic nie wierzę! Właśnie – odrzekłem – przychodzę, mój bracie drogi, aby ci więcej jeszcze dodać odwagi, bo wiara nie odbiera jej, ale dodaje. Zresztą jesteś pewnym, że poza grobem nic nie ma, że ze śmiercią kończy się wszystko? – Czy jestem pewnym... pewnym??? – powtarzał, jakby chciał sobie coś przypomnieć. – Pewnym nikt być

nie może, ale wątpię! – Więc czy nie lepiej rozwiąć te wątpliwości, a jeśli tam coś jest, czy nie lepiej iść przygotowanym? Życie twoje tutaj było ciężkim, śmierć okrutną, tam przynajmniej lepiej ci będzie. – Skupił się w sobie na moment, a po chwili wyrzekł: Nie myślałem o tym, księżo, nikt tak do mnie nie mówił...

– Pan pozwoli – zwróciłem się do komendanta – że z tym człowiekiem porozmawiam nieco. Ale groźny Wołk odrzekł krótko: Jeśli delikwent chce się spowiadać, to dobrze, na żadne się rozmowy nie zgadzam. – Przecież pan także katolik – mówiłem dalej – pan słyszy, że tu nie ma mowy o sprawach politycznych, ale o rzeczach sumienia, proszę więc nie bronić... – Wołk skinął głową i poszliśmy ze skazańcem do stojącego w kącie tapczanu...

Po chwili rozmowy zaszedł znowu jeden epizod. Dmytrów był strasznie zbitym, tak że nie mógł klęczeć, więc prosiłem go, by usiadł przy mnie. Rozmowa nasza była krótką, bo jak się okazało i niewiara nie była głęboką, ot, zwykła niewiara młodzieńcza, jedno moje zdanie wystarczyło, aby go przekonać zupełnie i usłyszeć wyznanie: Ojcze, wierzę we wszystko, tak jak uczyłem się w katechizmie!

Rozpoczęliśmy spowiedź. Wtem na środek sali wchodzi Wołk i głosem donośnym pyta: Dlaczego delikwent nie klęczy? Spowiadać księdzu pozwalam, ale rozmawiać zabraniam! Dmytrów odpowiada spokojnie: Nie klęczę, boście mię tak zbili, że klęczeć nie mogę. – Wołk sroży się więcej jeszcze, podnosi rękę i wrzeszczy: Protestuję przeciw temu, bo u nas nikogo się nie bije! – Tymczasem bili. Och! I jak bili, że ludzie konali pod nahajkami! Proszę komendanta, by mi nie przeszkadzał i pozwolił kończyć spowiedź. Słyszę na to rozkaz: Spieszyć się, bo nie ma czasu!

Po spowiedzi prosił mężny skazaniec, aby się z nim pomodlić. Jakaż modlitwa stosowniejszą była jeśli nie: „Zdrowaś Maryjo”? Odmawiał każde słowo ze skupieniem tak głębokim, jakby od razu chciał wchłonać w siebie wszystkie prawdy i wszystkie moce, w modlitewnych wyrazach zamknięte. A gdy doszedł do słów: „I w godzinę śmierci”, czułem, że śmierć dla niego straciła już zupełnie swoją grozę, bo ujrzał duszą Królowę tej Polski, za którą umierał...

– Ojczy, dziękuję ci – mówił – bo nikt mi tyle szczęścia nie dał w życiu. Ty mi dałeś, ostatnimi słowami moimi będzie ta modlitwa, którą mi przypomniał.

Nastała chwila Komunii świętej. Na tapczanie złożyłem Najświętszy Sakrament i klęcząc w pośrodku nich dzieliłem Hostię: na szczęście przyjmowali Ją z wiarą i męstwem pierwszych męczenników [...]

Groźny pan Wołk stał przede mną. – Tych ludzi – mówiłem – skazaliście niewinnie, sumienie każe mi to panu powiedzieć! – Czuję, że przeszedł po nim dreszcz. Jąkając się, zaczął mówić, że to przecież nie należy do przyjemności ludzi na śmierć skazywać, że grzebią się przepaście między dwoma narodami itd., itd. – Nie przyszedłem dysputować! – dorzuciłem, ale tylko przypomnieć panu, że masz uczynić wszystko, co w pańskiej jest mocy, aby wykonaniu wyroku przeszkodzić, jeszcze czas! – A, jak ksiądz tak mówi – odrzekł po namyśle – proszę mi zaufać, poczynię wszelkie kroki, by do śmierci nie przyszło – i podał mi rękę. Z przymusem dotknąłem jej, jak ręki kata. Ale na moment sądziłem, że może w człowieku tym jest choćby iskra szlachetności.

Wyszedłem na ulicę. Lecz zaledwie postąpiłem kilkadziesiąt kroków, rozległo się sześć karabinowych strzałów!... Pociemniało mi w oczach, oparłem się o jakiś kawał muru – komendant ukraiński spełnił oficerskie słowo!”. Cdn.

Eugeniusz Jaworski

Żary

Ks Kazimierz Klee

kapelan AK Obszaru Zbaraż i ostatni proboszcz parafii kretowiecko-hrycowskiej

Tuż przed pierwszą wojną światową, a okresie zaboru austriackiego, otrzymano od ówczesnych władz zezwolenie na budowę kościoła we wsi Kretowce. Inicjatorami tego przedsięwzięcia było społeczeństwo obu wsi oraz księża bernardyni ze Zbaraża. We wsi powołano komitet do nadzoru budowy, a budowę powierzono

firmie ze Zbaraża. Budowę prowadził Maciej Gargoliński. Kamień węgielny poświęcono już w roku 1909, a prace trwały do roku 1914. Część materiałów zostało przywiezionych z Nowego Rogowca, a zostały podarowane przez właściciela likwidowanej cegielni. Przy kościele wybudowano drewnianą dzwonicę na trzy dzwony, którą przebudowano na murowaną w 1935 roku. Zawieszonym dzwonom nadano imiona "Jan", "Maria" i "Józef".

Do roku 1913 datuje się powstanie parafii filialnej, należącej do parafii w Zbarażu. Do tego czasu wierni rzymskokatolicy uczęszczali do kościoła św. Antoniego w Zbarażu, a wyznawcy greckokatolicy do Ochrymowic - tak było przez okres zaboru austriackiego. Od 1914 roku wszyscy mieszkańcy uczęszczali do własnego kościoła p.w. Św. Rozalii.

W początkowym okresie, do odprawiania nabożeństw i prowadzenia religii w szkole przywożono księży ze Zbaraża. Tak było do czasu wybudowania plebanii z początkiem lat trzydziestych, do której kolejno się wprowadzali następujący księża: ks. Unorat, ks. Folta, Ks. Chryzoston, ks. Nowak i ks. Kazimierz Klee (jako ostatni).

8 grudnia 1945 r. w godzinach porannych zostało odprawione ostatnie nabożeństwo, dla jeszcze pozostałych mieszkańców, bo już wiele rodzin wyprowadziło się na stację do Zbaraża. Było to ostatnie błogosławieństwo w tym kościele, które przebiegało w smutku i rozpacz. Następnie cały sprzęt kościelny załadowano na cztery furmanki kretowieckich gospodarzy i zawieziono na stację w Zbarażu, gdzie poukładano je przy dworcu. I tak czekano na podstawienie wagonów, które podstawiono dopiero w godzinach popołudniowych. Dzień 8 grudnia 1945 r. był pochmurny, śnieżny i mroźny, nawet jak na początek zimy

Ostatnim pogrzebem przed wyjazdem, który został odprawiony przez ks. K. Klee był pochówek starszej osoby – Ukrainki lub Ukrainca- Łemka, którego rodzina wprowadziła się na gospodarstwo Franciszka Tracza. Pogrzeb miał przebieg dramatyczny. Członkowie rodziny zmarłego udali się po popa do Stryjówki, a ten odmówił im przyjazdu do polskiej wsi. Tak też odmówili pop z Łu-

bianek i pop ze Zbaraża. W takiej sytuacji, by pochować zmarłego po chrześcijańsku, zwrócono się do naszego proboszcza, który był jeszcze na miejscu, czy mógłby ten pogrzeb odprawić. Członkowie tej rodziny mówili dobrze po polsku i na pewno nie były im obce polskie modlitwy. Nasz ksiądz nie odmówił i przy odpowiednim zabezpieczeniu ze strony mieszkańców, pogrzeb ten odprawił. Taka ochrona była konieczna ponieważ nowi osiedleńcy już afiszowali się swoją przynależnością do UPA. Ostrzegał o tym wywiad AK, a kilku z nich tj. z Ukraińców miało obowiązek meldowania się do NKWD w Zbarażu dwa razy w tygodniu a po naszym wyjeździe zostali aresztowani i zesłani na dziesięć lat łagrów, co potwierdzało nasze obawy o ich przynależności do zbrodniczej organizacji.

W tym ostatnim roku naszego tam bytu, odbyła się ostatnia I Komunia dzieci mieszkańców naszej wsi oraz rodzin, które znalazły u nas schronienie przed bandami. Była to uroczystość bardzo podniosła, piękna, a jednocześnie skromna i ostatnia taka w naszym kościele.

W tym też roku (bodajże we wrześniu) odbyło się również ostatnie święto odpustowe św. Rozalii (odpust Św. Rozalii odbywa się 4 września – przyp. red.), na które przybyli księża z okolicznych parafii. Była to ostatnia uroczystość w kretowieckim kościele tak licznie nawiedzona przez mieszkańców okolicznych wiosek. Ta ostatnia uroczystość była jednocześnie spotkaniem z dowództwem AK, które w tym czasie mieściło się na plebanii, gdzie przebywał komendant Żeglin ps. "Ordon", do którego przybyły łączniczki z Tarnopola i Lwowa. Zachowała się fotografia z tego spotkania. Była to ostatnia uroczystość odpustowa, a zarazem ostatnia narada w takim gronie z dowództwem AK w Kretowcach.

Po długim oczekiwaniu, w dniu 8 grudnia w godzinach popołudniowych, podstawiono nam wagony do załadunku. Każdy chciał już się załadować, bo tego czekania w warunkach podolskiej zimy każdy miał już dość. Sama podróż to nowa karta do opisania, choć miała ona bolesny przebieg. Musieliśmy w drodze pożegnać i pochować trzy osoby, które zmarły z zimna. Jedną pochowaliśmy na cmentarzu w Tarnopolu, drugą na cmentarzu w Krakowie, a

trzecią dowieźliśmy już do miejsca rozładunku, do Liderodów – dziś Lipniki Łużyckie. Wszystkie te pogrzeby obsługiwał ks. Kazimierz.



Od lewej stoją : Ks. Bernat z Kretowiec, ks. Kazimierz Klee, ks. Krzystow ze Zbaraża, ks. Tomasz z Maksymówki, ks. Chyzoston Szczerbiński ze Stryjówki, Karol Haniszkiwicz ze Zbaraża, żołnierz AK. Siedzą wyżej: p. Żeglin, żona komendanta AK, p. Basia, łączniczka z Tarnopola (nie wiem czy to imię, czy pseudonim), p. Zielińska ze Styjówki. Siedzą poniżej p. Irena, łączniczka ze Lwowa (nie wiem czy to imię, czy pseudonim), p. Augustyniak, organista ze Zbaraża, p. Stefania Budzyna, łączniczka AK z Kretowiec.

W dniu 31 grudnia nasz transport zajechał na stacje Sorau – dzisiaj Żary. Jak tylko nas poinformowano, że jesteśmy na miejscu, ks. K. Klee zorganizował w kościele żarskim nabożeństwo dziękczynne, jako votum za szczęśliwy dojazd do miejsca przeznaczenia. 1 stycznia 1946 r. transport podstawiono na stacje Lipniki.

Najpierw zorganizowano pogrzeb dla zmarłej osoby, a następnie rozpoczął się rozładunek i każdy szukał na własną rękę mieszkania, Tu w Lipnikach były już wcześniejsze transporty z Kopyczyniec i spod Tarnopola i wielu naszych mieszkańców tu się osiedliło. W tych nowych warunkach ks. Kazimierz objął parafię i zorganizował życie religijne wśród swych starych-nowych parafian. Objął swą opieką kościoły w Sieniawie Żarskiej, Brzostowie, Pierzykowie, Grotowie i w Miłkowicach.



Na zdjęciu ks. Kazimierz w otoczeniu nauczycieli i uczniów w szkole w Lipnikach (wtedy Lipnica)

Gdy zorganizowano szkoły w Lipnikach i w Sieniawie Żarskiej dochodził do nich nasz ks. Kazimierz. W miejscowości Boruszyn, gdzie osiedliło się najwięcej mieszkańców Kretowiec, a nie było kościoła, zorganizował przy pomocy mieszkańców, kaplicę ze starej poniemieckiej remizy, w której co niedziela odprawiał nabożeństwo. Bardzo dużą zasługę włożył w otwarcie tej kapliczki J. Barylski. Dziś ta wieś doczekała się kościółka, który powstał z adaptacji budynku po PGR.

W latach pięćdziesiątych, kiedy rozpoczęły się aresztowania żołnierzy AK, nie ominęło to też ks. Kazimierza, J. Krasnkiego, S. Budzyba, W. Rzeźnika z Mirostowic Górnych i jego brata z Lubanic koło Żar. W latach sześćdziesiątych ks. Kazimierz został przeniesiony do parafii w miejscowości Góra koło Jeleniej Góry, skąd od czasu do czasu przyjeżdżał do swych dawnych parafian, a szczególnie do byłych żołnierzy AK. Jak mi się zwierzył jeden z nich, to ks. Kazimierz zbierał materiały do opisu AK obszaru Zbaraskiego, czy zdążył coś opracować, nie wiem. Ks. Kazimierz Klee zmarł 8 października 1978 roku w Jeleniej Górze. Swą osobą i pracą wśród swoich parafian zasłużył się na szacunek, uznanie i pamięć.

Od redakcji: Uzupełnienie do artykułu ze strony www.listawyklytych.pl oraz baza.muzeum-ak.pl: Kazimierz Tadeusz Klee urodził się 26.10.1907 w Rzeszowie jako syn Franciszka i Bronisławy zd. Rusin. W 1923 wstąpił do bernardynów w Leżajsku. We Włoszech przyjął święcenia kapłańskie. W maju 1943 zaprzysiężony w AK w Zbarażu, kapelan Inspektoratu Tarnopol i Obwodu Zbaraż AK. Magazynował broń, udostępniał plebanię na odprawy konspiracyjne, kolportował podziemną prasę (był autorem religijno-patriotycznych artykułów), wygłaszał kazania dla ludzi Podziemia.

Po akcji "Burza" działał w organizacji "NIE". Na nowo zaczął wydawać konspiracyjne czasopismo "Polak Kresowy". W artykułach zachęcał Polaków do pozostania na Kresach i niewyjeżdżania na zachód oraz do obrony przed wzmożoną działalnością band UPA.

08.12.1945 ewakuowany ze Zbaraża do Polski. Duszpasterz parafii Żóraw pow. Żary. Kontynuował działalność w Okręgu Tarnopol AK-WiN. Utrzymywał kontakty z konspiratorami z Okręgu Jelenia Góra WiN. Wygłaszał patriotyczne kazania. 28.04.1953 aresztowany, zwolniony bez procesu. Używał pseudonimów "Gustaw" i "Szymon".

Mila Sandberg-Mesner

Montreal – Kanada

Krąg dobrej woli

Moja matka, Fanny Sandberg, była dla mnie przykładem dobroci charytatywnej. Udzielała się społecznie w organizacji opieki nad biednymi, ale i też prywatnie pomagała ludziom, nikt głodny nie odchodził od naszych drzwi bez worka kartofli lub słoika konfitur.

Ojciec, Zygmunt Sandberg, z kolei co miesiąc rozdawał mąkę mieloną w naszym młynie wszystkim sierocińcom w Zaleszczykach: polskiemu, żydowskiemu oraz ukraińskiemu.

Do dziś robię to samo: przywykłam wspierać co miesiąc finansowo dwie międzynarodowe organizacje, jedną upominając się o więźniów sumienia, bo sama byłam więźniem i wiem, jak osamotniony człowiek się czuje, oraz drugą, zajmującą się rozwojem gospodarczym i społecznym w krajach rozwijających się, bo uczono mnie, że ci, którzy mają pod dostatkiem, powinni się dzielić z biedniejszymi.

W naszym domu pomagało szereg oddanych nam osób: Matykowa prała, Ecia była doskonałą kucharką jedzenia koszerne, w wielkiej przyjaźni z Pawlinką z domu Martyniuk. Ta była moją kochaną nianią, mówiła: „Mila, ty taka ciudowna, więcej nie wejdzie...”. Gdy Pawlinka wyszła za mąż za szewca, Roszczuka, ojciec dał im swoją dorożkę, ozdobili ją wstążkami i młoda para pojechała z paradą do polskiego kościoła. Rodzice potem wydali jej weselne przyjęcie w naszym domu.

Gdy pewnego dnia ojciec zawołał nauczyciela, by córki nauczyć czytać po hebrajsku, zaczął przychodzić do nas Berle, tzw. melamed, by udzielać nam lekcji. Nie bardzo to mu się udało, niewiele nauczyliśmy się, natomiast Berle upatrzył sobie naszą kucharkę Ecię, z czasem wziął ją za żonę. Ecia później przygotowywała przyjęcia na zamówienie, dziś powiedzielibyśmy na tę działalność „katering”. Myśmy Ecię tak kochały, że leciałyśmy do niej po szkole po to tylko, by ją uściskać.

Brat Eci, Mechel Berkowicz odegrał ważną rolę w naszym przetrwaniu w czasie Holokaustu.

Został aresztowany i przesłany do straszego obozu pracy i zagłady na ulicy Janowskiej we Lwowie. Tam pracował pewnego dnia w brygadzie przymusowej pracy na zewnątrz obozu, na dworcu w Kleparowie, gdy wiozący moich rodziców do Bełżca na zagładę pociąg stanął; musieli się przesiadać. Rozpoznali Mechla i udało im się jemu przekazać, że „nasze dzieci żyją i będą żyć”. Chodziło o to, że wiedzieli, że udało nam się wyskoczyć z pociągu, który ich dalej powiózł. Wierzyli, że znajdziemy protekcję po aryjskiej stronie u człowieka, który nam już wcześniej pomagał, przynosząc pomoc, gdy byliśmy w getcie w Kołomyi.

Inne osoby też próbowały nam pomóc. Nasz furman, Ukrainiec, który woził ojca do pracy, gdzie zarządzał młynem, usłyszał w czasie wojny, że podobno Sandberg jest w Tłustym. Pojechał go szukać z myślą, że go będzie ratował, schowa go przed Niemcami. Niestety ojca tam nie było.

Jakimś cudem udało się Mechlowi uciec z obozu na Janowskiej. Wrócił do Zaleszczyk. Tam opowiedział o tym, co dowiedział się w czasie krótkiego, opatrnościowego spotkania z moimi rodzicami w Kleparowie.

I kolejny cud się stał. Wracamy do Zaleszczyk na jesieni w 1944 r., moja siostra, kuzynka, opiekun nasz i ja z pieskiem Miki, jedziemy wozem drabiniastym z końmi, zatrwożeni myślą, co nas tam spotka? Nagle widzimy, wychodzi nam naprzeciw nasza koleżanka z gimnazjum, Dziuńka Nedelenko, na krótko przed Zaleszczykami, koło Tłustego. Odprowadzała narzeczonego na stację, gdyż został powołany do wojska radzieckiego. Woła nam radośnie: „Już wiemy od Mechla, że żyjecie! Czekaliśmy na was”.

I oto wita nas wręcz nieoczekiwana sytuacja po trzech latach tułaczki i ukrywania się: jest wolne mieszkanie w naszym własnym domu, możemy w nim zamieszkać. Co więcej, zbiegły się osoby, które dla nas wcześniej pracowały, zasypały nas pomocą. Tłumaczyły, że jest to oczywiste: „Wasza mama tyle dla nas zrobiła”.

Zaczęło się: ktoś przyniósł jaja zawinięte w chusteczce, ktoś kukurydziankę, ktoś konfitury. Nasza ukochana Pawlinka przyniosła nasze własne wtenczas bardzo wartościowe puchowe poduszki z gęsich piór, warte majątek. Ecia zostawiła jej te poduszki na przetrzymanie, niestety wkrótce po tym zginęła. Pawlinka podsumowała: „Eci poduszki już się nie przydadzą”. Zaczęła u nas sprzątać, rąbać drzewo, jednym słowem, zaopiekowała się nami.

Ten, kto wie, jak wielu Żydów czekały inne doświadczenia, gdy się starali wrócić na swoje mienie, wie jak wielka była nasza radość.

Zostaliśmy obdarzeni ciepłem, serdecznością, i miłością, których nasz dom był pełny przed wojną dzięki moim rodzicom.

Czułam, że jestem naprawdę w domu. Krąg dobrej woli się zamknął.

Sara Roda

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. XI– rodziny Dukiewiczów i Świerszczaków

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl

Żydowska rodzina Rosenów mieszkała w Buczaczu (ob. Ukraina), przy ulicy Podhajeckiej 2. Po śmierci męża w 1935 r. Klara Rosen samotnie wychowywała trzech synów: Henia, Milka oraz Jachiel. Milek, który po latach spisał wojenne losy swojej rodziny, w momencie wybuchu II wojny światowej miał 14 lat.

17 września 1939 r. Buczacz został zajęty przez ZSRR i przyłączony do Ukraińskiej SSR. Jak wspomina Milek, pierwsze oddziały Wehrmachtu wkroczyły do Buczacza już dwa tygodnie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, w samo południe 5 lipca 1941 roku. Od tego momentu społeczność żydowska, stanowiąca ok. 60% mieszkańców miasta, znalazła się w niebezpieczeństwie. Niemcy systematycznie przeprowadzali akcje, mające na celu wy-

łapywanie i mordowanie Żydów w Buczaczu. Pierwsza z nich odbyła się 7 października 1942 r., ostatnia 15 maja 1943 roku. 24 czerwca władze niemieckie oficjalnie ogłosiły Buczacz miastem wolnym od Żydów (*judenfrei*).

W okresie okupacji niemieckiej Milek otrzymał pozwolenie na pracę i wraz z innymi rzemieślnikami skierowany został do pomocy przy odbudowie tunelu kolejowego w Buczaczu – Nagórzance. Podczas pierwszej akcji niemieckiej w 1942 r. uciekł i wraz z rodziną schronił się na strychu kaplicy znajdującej się na polskim cmentarzu na górze Fedor. Cała rodzina ukrywała się także podczas kolejnych czterech akcji.

Jeszcze przed wojną Milek przyjaźnił się z Mietkiem, synem miejscowego grabarza Mańko Świerszczaka. Chłopcy często pomagali mu przy różnych pracach cmentarnych. Po śmierci Mietka (zginął podczas wojny niemiecko-sowieckiej manipulując przy niewypale), jego ojciec, wraz z żoną Maryną, postanowił zaopiekować się przyjacielem syna i jego rodziną. Powiedział mu kiedyś: „Słuchaj, Milo, ja ciebie i twoją rodzinę uratuję”. W swoich wspomnieniach Milek określa Mańka mianem „człowieka – anioła”.

Mańko znalazł dla rodziny Rosenów schron na polskim cmentarzu, w starym murowanym grobowcu, w którym znajdowała się tylko jedna trumna. Razem przygotowali dobrze zamaskowane, prostokątne wejście, przykryte deklek obłożonym darniną. Mańko wyłożył schron słomą, a rodzina Rosenów zgromadziła tam wszelkie jedzenie, jakie byli w stanie zdobyć – mąkę, cukier i inne produkty.

W maju 1943 r. Niemcy zarządzili przesiedlenie Żydów buczackich do miejscowości Tłuszcz, Jagielnica i Kopyczyńce. Jak się okazało, przesiedlenie to było fikcją. Po drodze wszyscy Żydzi zostali wymordowani i pochowani na pobliskich polach. Tuż przed akcją Milek wraz z matką i braćmi schronili się na cmentarzu, dzięki czemu udało im się przeżyć. Milek wspomina, że od tego momentu nie było już powrotu na wolność. W trakcie akcji zginęła jego babka i ciotka.

2

L.S.Arbeitsamt Tarnopol
Nebenstelle Buczaos.

Meldekarte für Juden:

No.174 Bu.

Der Jude Rosen Samuel
geb.am 15.Juli 192...
A Buczaos, ledig
Wohnort Buczaos, Podhajecka 2

Berufsgruppe und Art : LB.

.....unleserlich nur Verordnung
vom 26.Okt.1939 über die Einführung der
Zwangarbeit für die jüd.Bevölkerung des
Generalgouvernements vom 12.Des.1939 er-
fasst und dem Arbeitsamt.....zur Verfü-
gung.

Ein Auffangen auf der Strasse ist un-
statthaft.

L.S.Sicherheitspolizei
Dienststelle
uni.Unterschrift Photo

Karta meldunkowa S. Rosena

towali zupeł z mąki kukurydzianej. Korzystali także ze studni znajdującej się nieopodal, w ogrodzie państwa Czyżewskich.

Po wyczerpaniu pierwszych zapasów, w żywność zaopatrywał ich Mańko, któremu początkowo dawali pieniądze na jedzenie. Gdy wykorzystali już swoje środki finansowe, grabarz zaczął utrzymywać ich z własnych, skromnych funduszy. Czasem jedzenie na cmentarz przynosiła córka Świerszczaka, Stasia. Zostawiała pakunek w umówionym miejscu, nie wiedziała jednak o obecności rodziny Rosenów w grobowcu. Myślała, że przynieszone jedzenie przeznaczone jest dla ojca. Bracia uzupełniali braki w żywności okradając pobliskie sady. Jak wspomina Milek, zabierali „wszystko, co tylko dało się zjeść”.

Pomoc Mańka była niezwykle ryzykownym przedsięwzięciem. Pewnego razu został on aresztowany przez milicję ukraińską pod zarzutem ukrywania Żydów. Ktoś doniósł, że Mańko kupuje zbyt dużą ilość żywności. Podczas przesłuchania został mocno pobity, jednak nie zdekonspirował Milka i jego rodziny.

Od końca maja 1943 r. Rosenowie cały czas ukrywali się w grobowcu, na powietrze wychodzili tylko nocą. Jak wspomina Milek, w grobowcu siedzieli skuleni i rozmawiali na migi: „Siedząc w ciemności nie widzieliśmy nic – jakie są dni, jaka data? Chciałem pisać dziennik, ale to było niemożliwe – noc była dla nas dniem i odwrotnie. Cmentarz znałem jak swój własny dom”. Nocą leżeli na trawie i obserwowali gwiazdy. Starali się myć trawą i liśćmi pokrytymi rosą. Podczas burzy rozpalali na pustym cmentarzu małe palenisko i go-

Gdy nastąpiła zima, grobowiec stał się niebezpiecznym miejscem – ślady na śniegu mogły zdradzić kryjówkę. Wtedy też Mańko oraz bracia Rosenowie pod podłogą trupiarni zbudowali schron.

Zimą do kryjówki dołączył krewny Rosenów Fiszle Szwarz, z zawodu rzeźnik. Warunki ukrywania były wówczas znacznie gorsze, wszyscy stanęli przed groźbą śmierci głodowej. Szwarz napisał wtedy do swojego kolegi rzeźnika, Ukraińca o nazwisku Piszczuk, z prośbą o przysłanie jedzenia. Po kilku dniach pojawił się on na cmentarzu z workiem wypełnionym chlebem, kiełbasą i innymi potrawami oraz wódką. Jak wspomina Milek: „Tej nocy konsumując zawartość worka Piszczuka mieliśmy wielką ucztę – jedliśmy i piliśmy do syta. To było prawdopodobnie między grudniem a styczniem; może to była ‘Świąteczna noc’ – noc Bożego Narodzenia albo Nowego Roku”.

W marcu 1944 r. nastąpił odwrót armii niemieckiej. Na boisku obok cmentarza ustawione zostały działa przeciwlotnicze. Pewnego dnia, podczas wielkiej burzy, żołnierze schronili się w trupiarni. Pod ich ciężarem podłoga zawaliła się odkrywając schron Rosenów. Klara powiedziała do synów: „Dzieci uciekajcie, może się uratujecie”. Kiedy wyszła na zewnątrz, by odciągnąć uwagę Niemców od kryjówki, została zastrzelona.

Bracia Rosenowie zdołali uciec. Początkowo schronili się u Ukraińca Wiszniewskiego, który był szwagrem rzeźnika Piszczuka. Ukryli się w małej komórcy, gdzie, jak się okazało, przebywali również inni Żydzi. Kilka dni później zostali jednak nakryci przez Niemca szukającego kur w gospodarstwie. Na szczęście żołnierz zostawił ich w spokoju, jednak od tego momentu kryjówka stała się niebezpieczna. Bracia musieli poszukać nowego schronienia. Przypomnieli sobie o znajomym Michale Dukiewiczu mieszkającym w pobliskiej miejscowości Podlesie. Przedostali się do jego gospodarstwa. Na widok obdartych chłopaków w łachmanach Dukiewicz rozplakał się. Od razu nakarmił ich i ukrył w swojej stodole. Po kilku dniach Dukiewicz przybiegł z radosną nowiną o wycofaniu się wojsk niemieckich. 25 marca 1944 r. bracia Rosenowie wyszli z

ukrycia. Milek wspomina, że nazywali pana Dukiewicza „Michałem Aniołem”.

W kwietniu ponownie nastąpiła okupacja niemiecka. Rose-
nowie uciekli przed Niemcami wraz z wycofującymi się wojskami
sowieckimi. W ZSRR dwaj najstarsi wstąpili do tworzącej się tam I
Armii Wojska Polskiego. Później Henryk brał udział w wyzwaniu
Krakowa, Milek zaś służył w armii wkraczającej w styczniu 1945 r.
do Warszawy. Po wojnie Henryk przeniósł się do Chicago, Jachiel
zamieszkał w Eilat w Izraelu. Obaj już nie żyją. Milek Rosen wy-
emigrował w 1946 r. do Izraela, gdzie mieszka do dziś.



Henryk i Samuel-Milek Rosen

Milek wspomina w swojej historii: „Te dwa anioły, śp. Mańko Świerszczak i śp. Michał Dukiewicz zostali odznaczeni orderami I klasy Sprawiedliwy wśród Narodów Świata; ich imiona wpisane zostały w Jerozolimie na tablicę bohaterów i posadzone zostały drzewa z ich imionami. W Dniu Zaduszek modłę się za nich i proszę Boga: ‘Niech ich święte dusze zostaną przyjęte do grona wszystkich naszych świętych. Amen!’”.

Od redakcji: Mańko i Maryna Świerszczak oraz Michał i Genowefa Dukiewicz tytuł „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata” otrzymali 7 lipca 1983 r.

*Jerzy Miller
Poznań*

Zapomniani pisarze z Podola

Cz. XI Julian Wołoszynowski (1898-1977)



Julian Wołoszynowski prozaik, poeta, dramatopisarz, krytyk i aktor teatralny urodził się 4 kwietnia 1898 w Serbach na Podolu z zbruczańskim jako syn Joachima i Marii z Łukaszewiczów. Wychował się w rodzinnym majątku Serby. W 1910 rodzina Wołoszynowskich przeniosła się do Kijowa. Tam ukończył gimnazjum i wstąpił na Uniwersytet Kijowski św. Włodzimierza studiować prawo.

Już podczas nauki w gimnazjum związał się z Teatrem Studia Stanisławy Wysockiej. Pod pseudonimem występował w Teatrze Polskim i Małym. Od 1919 mieszkał w Warszawie, gdzie studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Występował w teatrach warszawskich, był aktorem w Reducie (1922–1924). Od 1924 oddawał się wyłącznie pracy literackiej.

Uznanie krytyki międzywojnia pozyskał fantazyjną powieścią "O Twardowskim" (1927) oraz powieścią biograficzną o Słowackim (1929). Sięgał także do wątków legendarnych ("Potęga snu" 1928) i utworów lirycznych (m.in. zbiór "Okulary" z 1926 r.) Po Powstaniu Warszawskim i pobycie w obozie w Pruszkowie, przebywał w Krakowie, gdzie w 1946 został kierownikiem literac-

kim Teatru Kameralnego Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych (TUR). Do Warszawy powrócił w 1947.

Po "odwilży październikowej" wydał szkic historyczny o Warszawie - "Cóż to za nieznanym miasto" (1957), , "Wiersze wybrane (1958) czy cykl jednoaktówek czy wreszcie przekłady z literatury rosyjskiej.

Jak z powyższego widać tematyka i formy były różnorodne - tak jakby autor szukał swojej "dziedziny", czy też nie mógł się zdecydować na specjalizację w jednym czy dwóch gatunkach literackich. Analizując twórczość J. Wołoszynowskiego stwierdzić należy, że wiodącym rysem w jego twórczości był element baśniowo-mitologiczny zacierający granice między faktami i rzeczywistością a między fikcją i snem, często między prozą a poezją. Starał się wreszcie, reaktywować romantyczne formy literackie jak ballada czy gawęda szlachecka.

J. Woroszyłowski był dwukrotnie żonaty. Zmarł 16 grudnia 1977 w Warszawie. Pochowany na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie w Alei Zasłużonych obok Mieczysławy Ćwiklińskiej.

Wielka szkoda, że jego twórczość została zdecydowanie zapomniana w rzeczywistości kulturalnej III Rzeczypospolitej.

Igor Megger
Poznań

Julian Gozdowski - Król Polany Jakuszyckiej

Od 2 marca br. Dolnośląskie Centrum Sportu na Polanie Jakuszyckiej ma swojego patrona. Został nim nasz krajan, Czortkowiak, a także nasz czytelnik, Pan Julian Gozdowski.

Julian Gozdowski urodził się 22 maj 1935 roku w Czortkowie. W wieku 10 lat opuścił swoje rodzinne miasto i via Przemysł trafił do Jeleniej Góry, gdzie mieszka do dziś.

Prawdziwą pasją życia, która trwa nieprzerwanie, są sporty zimowe, których jest niestrudzonym propagatorem. Pierwsze narty

„zdobył” po żołnierzach niemieckich, którzy „zgubili je” w Czortkowie uciekając z pod Stalingradu.

Po tak zwanej „repatriacji” trafił na Dolny Śląsk. Choć ponemieckie narty zostały w Czortkowie, to nie przerwało w nim pasji w nowym miejscu zamieszkania. Po „zorganizowaniu” innej pary, wraz z kolegami trenowali skoki narciarskie, by stać się drugim Marusarzem czy Birgerem Ruudem. Na szczęście dla polskich sportów zimowych nie skończyło się tylko na tym epizodzie.

Z powodu przebytego w dzieciństwie zapalenia płuc sam wyczynowo startować w zawodach nie mógł, ale mogli jego uczniowie, których nauczał w szkole w Sobieszowie. Jego marzeniem było rozpropagowanie biegania na nartach. Marzył o imprezie masowej, o której pisałaby prasa ogólnopolska. I tak w 1976 roku na wzór szwedzkiego biegu Wazów powstał polski „Bieg Piastów”.

Wrocławscy profesorowie Alfred Jahn i Aleksander Kosiba (obaj absolwenci UJK) przekonali Juliana Gozdowskiego o wyjątkowych warunkach naturalnych panujących na Polanie Jakuszyckiej. Głównym atutem jest to, że śnieg leży tam do kwietnia, co czyni to miejsce jednym z najdłuższych zaśnieżeń w kraju. Do tego dodać należy bardzo zdrowe powietrze, nieznaną masowo lokalizację i sukces na imprezę murowany.

Choć z początku łatwo nie było. Rozreklamowanie, przekonanie działaczy sportowych i partyjnych, wreszcie problemy techniczno-materiałowe - to wszystko na głowie zaledwie kilku osób pod przewodnictwem Juliana Gozdowskiego.

Ale udało się! Z roku na rok impreza stawała się coraz bardziej popularna, masowa i ceniona, także za granicą. Udało się również zbudować całe centrum sportów zimowych, w którym to biegi mają jednak miejsce pierwsze. Obecnie na terenie polany Jakuszyckiej istnieje nowoczesne Dolnośląskie Centrum Sportu, przy którym także jest m.in. boisko piłkarskie, bieżnia czy ścianka wspinaczkowa. To właśnie temu obiektowi nadano w marcu br. imię Juliana Gozdowskiego.

A Bieg Piastów? Co prawda XLVII edycja w marcu nie odbyła się z powodu braku śniegu, ale takie sytuacje miały już miej-

sce. Natomiast w ubiegłym - 2023 roku bieg w koronnym dystansie - 50 km ukończyło 1357 osób.



Julian Gozdowski z naszą wybitną olimpijką Justyną Kowalczyk

Nasz komandor - bo takim tytułem jest organizator biegu określany, za swą wieloletnią, sportową działalność był wielokrotnie wyróżniany i odznaczany w tym Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011). W roku bieżącym otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Dolnego Śląska przyznany przez Sejmik Województwa Dolnośląskiego. Nakręcono także o nim film pt. „Komandor”, który wyemitowany został na TVP Historia.

Nasza redakcja, a także korzystając z naszych łamów grono przyjaciół Czortkowian w kraju, z okazji tak zaszczytnych wyróżnień składa Panu najgłębsze gratulacje, a także wyrażamy swój podziw dla Pańskich zasług w dziedzinie sportów zimowych. Jesteśmy niezmiernie dumni, że nasze rodzinne Podole i ziemia Czortkowska wydała na świat tak zasłużonego syna, który to w wywiadach zawsze z dumą wspomina swe miejsce urodzenia.



*Igor Megger
Poznań*

Zmarł prof. Wiesław Barczyk



Z głębokim smutkiem informujemy, iż 7 kwietnia br. zmarł profesor Wiesław Barczyk – członek kolegium redakcyjnego naszych „Głosów Podolan” w latach 2001 – 2018, wielce zasłużony dla naszego pisma, ostatni żyjący członek redakcji „warszawskiej” i de facto ostatni żyjący współpracownik redakcyjny p. Ireny Kotowicz.

Wiesław Barczyk urodził się w 1927 roku w Częstochowie w rodzinie rzemieślniczej. Podczas okupacji uczęszczał do szkoły handlowej i na tajne komplety w Warszawie, maturę zdał w 1947 roku w Lęborku. Studiował w Toruniu, gdzie uzyskał dyplom magistra filozofii.

Do roku 1952 był asystentem na wydziale matematyczno-fizycznym w Katedrze Geologii i Paleontologii na UMK w Toruniu. W 1952 r. został przeniesiony służbowo na Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Doktoryzował i habilitował się na Uniwersytecie Warszawskim. Na profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Warszawskiego został powołany w 1975r. W latach 1952-1998 pracował na Wydziale Geologicznym UW m.in. w Katedrze Geologii Ogólnej i Katedrze Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych. Był także kierownikiem wydziałowego Muzeum Geologicz-

nego. Dwukrotny uczestnik Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej na Kaukazie w latach 1974 i 1975.

Członek wielu komisji senackich UW. Członek licznych stowarzyszeń m.in. Przyjaciół Uniwersytetu Warszawskiego (wieloletni członek zarządu), Rady Naukowej Tatrzańskiego Parku Narodowego (wieloletni wiceprezes), Polskiego Towarzystwa Geologicznego, współzałożyciel Spółdzielni Mieszkaniowej „Oświata”, gdzie także był wiele lat członkiem rady nadzorczej.

Za swoją pracę i osiągnięcia odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Złotym Krzyżem Zasługi.

Członek warszawskiego „Klubu Podole” przy S/O TMLi-KPW, a od 2001 r. członek redakcji „Głosów Podolan”, w której zastąpił swoją zmarłą żonę, pochodząca ze Skałatu Ewę Popiel-Barczyk. Z członkowstwa w redakcji ustąpił w 2018 r. z powodu stanu zdrowia.

Pan Profesor był bardzo płodnym autorem. Jego artykuły zostały opublikowane w aż 39 numerach naszego pisma, co lokuje go na drugiej pozycji najczęściej publikujących w „Głosach” autorów. Bardzo ucieszył go fakt kontynuacji pisma w Poznaniu, o czym wspomniał w swoim ostatnim artykule z okazji naszego 30-lecia.

Uroczystości pogrzebowe śp. profesora odbyły się w Poznaniu 15 kwietnia na Cmentarzu Junikowskim. W pożegnaniu wzięła udział przedstawicielka naszej redakcji, kol. Hanna Dobias-Telesińska. Były także delegacje uczelni i sztandar Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Pan profesor dożył pięknego wieku 97 lat. Być może wpływ miała na to praca w redakcji, gdyż każdy z dawnej redakcji przekroczył wiek 90 lat. Przypomnijmy: Antoni Gołębiowski przeżył 92 lata, natomiast Irena Kotowicz i Jerzy Stopa po 96 lat. Pomimo pięknego wieku, ogarnął nas w redakcji smutek – odszedł ostatni redakcyjny łącznik z dawnymi „Głosami”, osoba wielce dla nas zasłużona – Cześć jego pamięci!

Wojciech Andrzej Badylak
Kędzierzyn-Koźle

Krystyna Ludwika Badylak (z domu Steliga) 1934 – 2023



Urodziłem się w rodzinie Czortkowień, chociaż już na Śląsku. Przez prawie 70 lat mojego życia słuchałem opowieści moich najbliższych o tamtych przepięknych terenach, które – choć fizycznie utracone – na zawsze pozostały w ich umysłach i sercach. Cieszę się, że mogłem te strony trzykrotnie odwiedzić, zobaczyć dom moich pradziadków – Jana Żeromskiego i Franciszki (z domu Porębska), pomodlić się na ich grobach. Uczyniłem to w towarzystwie mojej mamy, cioci i wujka.

Liczna rodzina, którą losy repatriantów rozsiały po całej Polsce, utrzymywała ze sobą bliski kontakt. Spotykaliśmy się często, gościliśmy wzajemnie u siebie to tu, to tam. Steligowie, Żeromscy, Świątkowscy, Czajkowscy, Wierzbiccy, Głębowscy. A także liczni znajomi, dawni sąsiedzi z Czortkowa. Święta, urodziny, imieniny, towarzyskie odwiedziny, inne okazje... Ale nadszedł taki czas, że coraz częściej spotykaliśmy się na pogrzebach. Przez ostatnie lata grono krewnych i znajomych bardzo mocno się „skurczyło”. W ubiegłym roku odeszła moja mama. To skłoniło mnie do napisania krótkiego wspomnienia nie tylko o niej, ale także o innych najbliższych mi osobach, wśród których upływało moje dotychczasowe życie, a których już nie ma wśród nas. Może ktoś z Czytelników jeszcze ich pamięta. Ze względu na tę pamięć do publikacji dołączam zdjęcie mojej mamy z okresu około połowy jej ziemskiego życia. Właśnie taką twarz mogą pamiętać ci, którzy znali moją mamę, gdy miała lat 30... 40... 50...

Urodziła się 15 stycznia 1934 roku w Czortkowie. Była trzecim i najmłodszym dzieckiem Stefana Steligi i Janiny (z domu Żeromska). Jej dzieciństwo i lata wczesnoszkolne to czas okupacji (niemieckiej i dwukrotnie sowieckiej).

W czerwcu 1946 roku wraz z rodzicami i rodzeństwem (siostrą Aleksandrą i bratem Zdzisławem) została przesiedlona (repartriowana) na Śląsk, gdzie cała rodzina ostatecznie osiadła w Kędzierzynie.

Po zdobyciu wykształcenia pracowała jako pielęgniarka w placówkach służby zdrowia w Gliwicach i Zabrzu. Była matką dwóch synów – Marka, który jako emerytowany górnik zmarł w Bytomiu 25 stycznia 2022 roku w wieku niespełna 68 lat oraz Wojciecha, który jest autorem tego wspomnienia. Po przejściu na emeryturę zamieszkała w Kędzierzynie.

Była wierną czytelniczką „Głosów Podolan”. Do lektury niektórych numerów chętnie powracała. Interesowało ją wszystko to, co dotyczyło Czortkowa i co było pisane przez ludzi, których znała. Wielokrotnie brała udział w corocznych zjazdach Czortkowiec, organizowanych u Ojców Dominikanów w Warszawie. W pierwszej dekadzie XXI wieku trzykrotnie odwiedziła Czortków. Było to dla niej ogromne przeżycie – zobaczyć rodzinne miasto po ponad 60-ciu latach, spotkać żyjących tam nielicznych już krewnych i znajomych, pomodlić się w kościele, w którym przyjęła chrzest święty, przejść ulicami, które pamiętała z dzieciństwa.

W ostatnich latach życia przeszła kilka poważnych operacji i bardzo podupadła na zdrowiu. Z trudem poruszała się po mieszkaniu (o kulach) i potrzebowała pomocy drugiej osoby w wypełnianiu codziennych czynności.

Zmarła w Kędzierzynie 19 lipca 2023 roku w wieku niespełna 90 lat. Została pochowana na miejscowym cmentarzu komunalnym obok swoich rodziców. Było to 22 lipca - dokładnie w 122 rocznicę urodzin jej ojca. Stefan, który był maszynistą parowozu, przeżył 76 lat i zmarł 16 czerwca 1977 roku, zaś matka (Janina), która zajmowała się domem, przeżyła 90 lat i zmarła 2 lipca 1998 roku. Dziadkowie przeżyli wspólnie 50 lat i zostali odznaczeni me-

dalami „Za długoletnie pożycie małżeńskie”. Natomiast starsza siostra Aleksandra Bogusława (po mężu Dwornik), która była pracownicą administracji państwowej na Śląsku, a na emeryturze zamieszkała w Krakowie, zmarła we wrześniu 2013 roku, mając 85 lat i została pochowana na Cmentarzu Batowickim w grobie zmarłego kilka lat wcześniej syna Roberta.

W ostatnim czasie nasze ziemskie szeregi opuścili następujący
zasłużeni Podolanie:

Lesław Schmutz urodził się 1.08.1934 r. w Kamionce Strumiłowej, zmarł 24.1. br w Krakowie. Jeden z najwybitniejszych żyjących polskich filatelistów. Pochodził z rodziny nauczycielskiej. Lata wojny spędził wraz z matką na syberyjskim zesłaniu. W 1951 r. wstąpił do nowopowstałego Polskiego Związku Filatelistów (Koło nr 1 w Rzeszowie). Od 1959 r. wykonywał ekspertyzy filatelistyczne, początkowo znaków pocztowych poczt obozowych, wojskowych i getta łódzkiego w czasie II wojny światowej. W 1971 r. rozszerzył uprawnienia eksperta w zakresie wszystkich polskich znaków pocztowych jako jeden z pierwszych polskich filatelistów. Wielokrotnie był opiekunem kandydatów na ekspertów PZF oraz członkiem komisji egzaminacyjnych dla kandydatów na ekspertów. Członek Kolegium Ekspertów PZF. Wystawca licznych eksponatów, które prezentował łącznie na 23. wystawach światowych ogólnopolskich, krajowych i okręgowych, zdobywając wysokie wyróżnienia medalowe. Uczestniczył w charakterze jurora lub eksperta w licznych wystawach filatelistycznych. Znany i ceniony publicysta w zakresie filatelistyki. Autor i współautor ponad 140. artykułów badawczych publikowanych na łamach prasy filatelistycznej. Przewodniczący Komisji Historyczno-Badawczej Okręgu PZF w Krakowie (1969-1977), a od 1980 r. Okręgu PZF w Rzeszowie. Sędzia filatelistyczny I klasy (1989). Uczestniczył w szkoleniach aspirantów na sędziów konkursowych PZF. Laureat wszystkich odznaczeń związkowych. Nie założył rodziny całe swe życie poświęcając fila-

telistycy. Pomimo kontrowersji w ostatnich latach, bez wątpienia jeden z najwybitniejszych polskich filatelistów – zarówno wśród współcześnie mu żyjących, jak i wśród tych dawniejszych.

Tadeusz Zawer – urodził się 26.07.1934 w Wiśniowczyku (pow. Podhajce) zmarł 8 lutego br. w Oławie. Wykształcenie wyższe, nauczyciel matematyki, wieloletni dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych w Oławie. Zasłużony filatelista - do Polskiego Związku Filatelistów wstąpił w 1962 w Kole przy Zakładach Bieli Cynkowej w Oławie. Długoletni członek Zarządu Koła i przewodniczący Sądu Koleżeńskiego przy Okręgu PZF we Wrocławiu. Członek komitetów organizacyjnych wystaw. Za działalność filatelistyczną został wyróżniony m.in. Złotą Odznaką Honorową PZF, medalem „Zasłużony dla Okręgu Wrocławskiego PZF” (2011). W 2011 r. otrzymał godność Członka Honorowego PZF. Za pracę zawodową i działalność społeczną³.

Ludwik Denderys - urodził się 26 kwietnia 1944 w Młyńsku k. Trembowli, był bokserem - walczył w wadze ciężkiej. Trzykrotnie wystąpił w mistrzostwach Europy. W Berlinie 1965 odpadł w ćwierćfinale, za to w Bukareszcie 1969 i Madrycie 1971 zdobył brązowe medale. Podczas igrzysk olimpijskich w Monachium 1972 już w pierwszej walce trafił na późniejszego mistrza Teófilo Stevenson z Kuby i przegrał. Zdobył tytuł mistrza Polski w 1969, w 1968 i 1970 był wicemistrzem kraju, a w 1964, 1966, 1967 wywalczył brązowe medale. W swojej karierze rozegrał 243 walki, z czego 186 wygrał, 11 zremisował i 46 przegrał. Po zakończeniu kariery został trenerem bokserskich grup zawodowych w macierzystym klubie. Zmarł 14 lutego 2024 we Wrocławiu.

pplk Stanisław Jastrzębski - urodził się 13 listopada 1929 we wsi Bybło pow. Rohatyn woj. Stanisławowskie, zmarł 18 stycznia br. w

³ Pełne biografie Lesława Schmutza i Tadeusza Zawera zamieściliśmy w 151 numerze „Głosów Podolan” w 2018 r. w artykule poświęconym filatelistom urodzonym na terenie woj. tarnopolskiego - przyp.red.

Katowicach. Żołnierz AK ps. "Smyk", a także w czasie "czerwonych nocy" żołnierz polskiej samoobrony w Stanisławowie. Na skutek przeszłości politycznie usunięty z wojska - więziony przez UB. Po amnestii w 1956 r. do emerytury pracował jako radca prawny w różnorodnych przedsiębiorstwach. Członek krakowskiego Klubu Seniorów Lotnictwa, działacz kombatancki oraz czynny działacz kresowy oddziału TMLiKPW w Katowicach. Autor 14 publikacji – książek, w tym pozycji poświęconych ludobójstwu na kresach południowo-wschodnich. Za swoje zasługi był wielokrotnie wyróżniany i odznaczany. Zmarły był naszym wieloletnim prenumeratorem, prawie od początków naszego istnienia, a także autorem tekstów - jego wspomnienia opublikowaliśmy w dwunastu odcinkach w numerach 28-39 „Głosów” w latach 1998-2000.

Cześć ich Pamięci!

Katarzyna Kwinecka
Poznań

Sprawozdanie Prezesa z merytorycznej działalności zarządu TMLiKPW o. Poznań Kadencja XII 2019 – XII 2023

Mijająca kadencja nie należała do łatwych. Już po pierwszym posiedzeniu nowego składu zarządu wybuchła pandemia wirusa SARS-COV2. Kreatywność członków zarządu pozwoliła, pomimo całkowitego lockdownu, prowadzić działalność zgodnie z przepisami i planować wyprzedzająco wydarzenia, przewidując zaostrzenia bądź poluzowywanie obostrzeń covidowych. Podjęto uchwałę o możliwości podejmowania uchwał drogą elektroniczną, a w sprawach dotyczących np. organizacji Dni Lwowa przez samo Prezydium Zarządu. Większość organizacji całkowicie zawiesiła swoją działalność. Oddział poznański TMLiKPW tymczasem zorganizował wszystkie zaplanowane imprezy, dostosowując ich termin

do przewidywanego przez środowisko medyczne przebiegu liczby zachorowań, a co za tym idzie, wprowadzanych obostrzeń.

Odbył się Piknik Lwowski na Starym Rynku w czerwcu 2020, a także uroczystości 11 lipca. M.in. dzięki takiemu planowaniu udało się również zorganizować obchody 100. rocznicy wojny z bolszewikami i jak się okazało była to jedyna oficjalna uroczystość z tej okazji w Poznaniu. Na mszy św. w Katedrze 25.X.2020r. obecni byli przedstawiciele władz samorządowych, szeregu organizacji i stowarzyszeń z całej Wielkopolski, a także poczty sztandarowe. Również nasza siedziba została otwarta, gdy tylko pozwoliły na to przepisy. Wszystko to jednak wymagało zwiększonego wysiłku w zakresie dostosowywania się do odpowiednich przepisów i rozporządzeń, np. zakup środków dezynfekcyjnych, taśm wygradzających, zorganizowanie większej liczby wolontariuszy do pilnowania, by w danym miejscu przebywała jednocześnie wyznaczona liczba osób itd. Dużym wyzwaniem logistycznym było też przeprowadzenie akcji charytatywnej. Jedną z pierwszych uchwał ustępującego obecnie zarządu było powołanie koordynatora akcji charytatywnej „Serce dla Lwowa”. Został nim pan Stanisław Łukasiewicz, który z wielkim poświęceniem zorganizował pomoc finansową (tradycyjne paczki były niemożliwe) dla naszych stałych podopiecznych we Lwowie i okolicach. Pomału zapominamy już o tych trudnych czasach, i oby nie wróciły, ale w tym miejscu zarząd ma prawo przypomnieć w jakich warunkach prowadził działalność. Dołożyliśmy wszelkich starań, by przeprowadzić przez ten trudny czas nasze Towarzystwo jak najbezpieczniej. Cieszymy się, że tak się udało.

Kadencja 2019-2023 to w pierwszej połowie pandemia, a w drugiej wojna na Ukrainie. Zaraz po agresji Rosji włączyliśmy się bardzo aktywnie w pomoc uchodźcom oraz w zbiórkę dodatkową na rzecz naszych rodaków. Dla odróżnienia od akcji „Serce dla Lwowa” nazwana została „Pomoc dla Lwowa”. Przy współpracy ze stowarzyszeniem „Odra-Niemen” udało się wysłać już w marcu transport z darami oraz wsparcie finansowe. Wszystko trafiło do podopiecznych naszego Oddziału, dzięki zaangażowaniu i pomocy

p. Haliny Makowskiej we Lwowie, której w tym miejscu serdecznie dziękuję. Wszystkim, współpracującym z nią wolontariuszom, tam na miejscu, również.

Na drugi dzień, po wybuchu wojny, z kościoła pw.św. Małgorzaty na Śródcie, do katedry została przeniesiona wierna kopia obrazu MB Łaskawej Lwowskiej (w którego sprowadzeniu do Poznania w 2016 roku nasz Oddział miał duży wkład), jako duchowe wsparcie dla Polaków oraz uchodźców. Obraz będzie wystawiony w katedrze do końca wojny.

Wojna sprawiła, że musieliśmy zmienić program koncertu, podczas Pikniku Lwowskiego, organizowanego w ramach corocznych Dni Lwowa (nie było możliwości przyjazdu planowanego wcześniej zespołu z Łucka). Sytuacji nie ułatwił również remont płyty Starego Rynku. Był to powód, dla którego w ostatnich dwóch latach Pikniki organizowane były kolejno: w parku na os. Kopernika i w parku osiedla Strzeszyn.

Obecność uchodźców z Ukrainy zmieniła również podejście wielu mieszkańców miasta do organizacji uroczystości 11 lipca, czyli rocznicy „Krwawej Niedzieli” na Wołyniu. Udało nam się jednak przekonać, zarówno władze miasta, jak i większość organizacji kombatanckich w Poznaniu, że można nam zaufać, bo potrafimy zorganizować obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa w sposób godny, połączony również z pamięcią o ofiarach obecnej wojny. Od 3 lat w krągankach klasztoru oo. Dominikanów towarzyszy nam Asysta Honorowa Wojska Polskiego, odczytywany jest Apel Pamięci (zatwierdzony wcześniej w MON), oddawana jest salwa honorowa. W 80 rocznicę „Rzezi Wołyńskiej” dodatkowo obecny był Sztandar Stołecznego Miasta Poznania.

Wojna, jak i pandemia bardzo mocno odbiła się na możliwości przeprowadzenia w pełnym wymiarze akcji „Serce dla Lwowa”. Mimo zagrożeń, wynikających z trwającej wojny, pan Stanisław Łukasiewicz z panem Jackiem Kołodziejem na 6 grudnia tradycyjnie dostarczyli zebrane dary do Lwowa. O szczegółach akcji informowani są wszyscy członkowie Towarzystwa na spotkaniach

opłatkowych. Wszystkim zaangażowanym w przygotowanie i przeprowadzenie akcji z całego serca dziękuję.

Co roku, bez względu na okoliczności, udało się z dużym powodzeniem zorganizować Dzień Jedności Kresowian (przypadający 2 października) na Ostrowie Tumskim.

Dużym sukcesem okazało się zorganizowanie dwóch dużych wystaw:

1. „Zasłużeni dla Lwowa i Kresów”- wystawa plenerowa na dziedzińcu Urzędu Miasta (Plac Kolegiacki). Dzięki temu, że prezentowana była przez dwa miesiące wakacyjne, obejrzało ją wielu mieszkańców Poznania, ale też sporo turystów.
2. Pokłosiem tej wystawy była kolejna wystawa, zorganizowana przy współpracy z Wydziałem Prawa UAM w Collegium Iuridicum Novum- prezentująca nieznane wcześniej zdjęcia wybitnego profesora prawa UAM, Kresowianina Tadeusza Cypriana. Wernisaż wystawy połączony był z bardzo ciekawymi wykładami, prezentującymi dwa oblicza uczonego: wybitnego profesora prawa międzynarodowego oraz wybitnego fotografa.

Ze względu na mniejszą liczbę osób zainteresowanych biuletynami Oddziału, na wniosek Collegium Redakcyjnego, Zarząd podjął uchwałę o wydawaniu zamiast dotychczasowej formy kwartalnika jednego w roku biuletynu okolicznościowego.

Dziękując Redakcji, z panią Anną Telesińską na czele, wymienię ich tytuły: „Czerwiec 1956 oczami Kresowian”, „Nasze drogi z Kresów do Wielkopolski po II wojnie światowej” oraz ostatni: „Przeżyliśmy Ludobójstwo na Kresach Pd-Wsch. Wspomnienia ocalałych mieszkańców Huty Pieniackiej”.

Ponadto pod redakcją wiceprezesa Igora Meggera od trzech lat poznański oddział wydaje kwartalnik „Głosy Podolan”, które w ub. roku obchodziły swój jubileusz 30-lecia. Po śmierci pani Ireny Kottowicz z Warszawy, gdyby nie wysiłek pana Igora, wydawnictwo tego zacnego jubileuszu mogłoby nie doczekać.

Ponadto, z całorocznych, regularnych prac:

Odbywały się regularne posiedzenia Zarządu, 1/m-c. Podejmowano uchwały, które były realizowane na bieżąco. Wykaz uchwał jest do wglądu.

Zorganizowano tradycyjne spotkania wielkanocne oraz spotkania „opłatkowe” (z wyjątkiem okresu pandemicznego).

W roku 2023 nie zrealizowano Salonu Lwowskiego, w zamian w Domu Polonii zorganizowano wystawę fotograficzną, połączoną z prelekcją pt. „Zabytki Lwowa w obliczu agresji Rosji na Ukrainę”, w ramach wydarzenia ogólnopolskiego „Noc Muzeów”.

Członkowie zarządu brali aktywny udział w uroczystościach historyczno-patriotycznych, zgodnie z kalendarzem uchwalonym w kadencji poprzedniego Zarządu. Każda z rocznic historycznych przypominana była na stronie internetowej. Ponadto przyjęliśmy drugi rok z rządu patronat honorowy nad organizowanym w Lubońcu „Biegiem Orląt”. Zarząd ufundował nagrodę dla zwycięskiej drużyny.

Członkowie zarządu wzięli już dwukrotnie udział w ogólnopolskiej pielgrzymce na Jasną Górę, organizowanej przez ZG TMLiKPW oraz w Ogólnopolskim Zjeździe we Wrocławiu, zorganizowanym również przez ZG z okazji 35-lecia TMLiKPW w październiku 2023 roku. Pielgrzymki organizowane są co roku (sobota przed Niedzielą Palmową) - zachęcam do udziału.

Każdego roku przygotowano i złożono ofertę konkursową o dotację na organizację Dni Lwowa do UM i Urzędu Marszałkowskiego. Wszystkie dotacje w terminie rozliczono.

Podjęto akcję przygotowywania paczek świątecznych chorym i samotnym członkom Towarzystwa oraz w miarę systematyczne odwiedziny w ciągu roku.

Powołano zespół, który współpracuje ze SP nr 1 w Poznaniu w związku z nadaniem tej szkole imienia „Orląt Lwowskich”. Spotkania odbywają się regularnie. Uroczystość zaplanowano na czerwiec 2024 roku.

Ponadto w okolicy 1 listopada, członkowie zarządu zapalają znicze na grobach zasłużonych Kresowian, a w razie potrzeby porządkują groby.

Pozyskano prywatnego sponsora, dzięki czemu kontynuowano wręczanie wyróżnienia „Semper Fidelis” w postaci odlanego z brązu lwowskiego lwa.

W roku 2022 r. doprowadzono do realizacji, by jeden z poznańskich parków otrzymał imię lwowsko-poznańskiego kompozytora Tadeusza Zygfrieda Kasserna, uratowano także od likwidacji grób profesora prawa, lwowianina Alfreda Ohanowicza.

Przez cały rok czynna jest siedziba w Zamku, w każdą środę od godz. 16.00. Zarząd podejmuje starania, by co raz częściej odbywały się w tym dniu tematyczne spotkania (imieniny członków, spotkania z zaproszonymi gośćmi, tematyczne prelekcje, wyświetlane filmy etc).

Stale uzupełniane są zasoby biblioteczne. Przeprowadzono skontrum biblioteki.

Ponadto, cały czas podejmowane są starania, by zacieśnić współpracę z władzami miasta, a także z MN w Poznaniu. Przekłada się to na rozpoznawalność Towarzystwa zarówno we wpływowym instytucjach, jak i wśród mieszkańców Poznania. Nawiązano również współpracę z Muzeum Kresowym w Brzegu, dokąd przekazano, skatalogowane wcześniej i opisane, artefakty po naszym członku, lwowianinie, śp. prof. Jerzym Albrychcie.

Nie sposób wymienić całej, codziennej działalności Zarządu, choćby w zakresie koniecznej sprawozdawczości (w tym miejscu dziękuję pani skarbnik Aleksandrze Kiersnowskiej-Tylewicz), ale przez całą swoją kadencję ustępujący zarząd podejmował wszystkie działania określone w statucie oraz wynikające z podjętej uchwały poprzedniego walnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego dotyczącej działalności Towarzystwa.

Wszystkim członkom Zarządu bardzo dziękuję za rzetelne wypełnianie swoich obowiązków.

*Redakcja***Nowe władze poznańskiego oddziału TMLiKPW**

W dniu 13 marca na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym oraz 3 kwietnia na zebraniu uzupełniającym wybrano następujące, nowe władze poznańskiego oddziału TMLiKPW:

Zarząd poznańskiego Oddziału TML i KPW:

Katarzyna Kwinecka – prezes

Igor Megger – wiceprezes

Wanda Butowska – wiceprezes

Maria Berezowska – sekretarz

Aleksandra Kiersnowska-Tylewicz – skarbnik

Jacek Kołodziej – członek zarządu

Dorota Polska – członek zarządu

Piotr Tuczyński – członek zarządu

Renata Zawirska-Wojtasiak – członek zarządu

Komisja Rewizyjna:

Marek Szpytko – przewodniczący

Maria Wielebska – sekretarz

Tadeusz Dradrach – członek Komisji Rewizyjnej

Sąd Koleżeński:

Henryk Robak – przewodniczący

Michał Wojtasiak – sekretarz

Bożena Łączkowska – członek Sądu Koleżeńskiego

Delegaci na Zjazd Krajowy : Katarzyna Kwinecka, Igor Megger, Jacek Kołodziej

Wszystkim wybranym życzymy zdrowia oraz wytrwałości w działaniach na rzecz upamiętniania polskiego dziedzictwa Kresów południowo-wschodnich, a także w pomocy dla Polaków tam pozostałych.

Grażyna Orłowska-Sondej laureatką statuetki „Semper Fidelis”



Miło nam zakomunikować, iż decyzją kapituły statuetki „Semper Fidelis” jej tegoroczną laureatką zostaje p. Grażyna Orłowska-Sondej. Gratulujemy tak zaszczytnego wyróżnienia, które także w naszej opinii należy się laureatce jak najbardziej. Pragniemy na naszych łamach przybliżyć Państwu jej sylwetkę:

Miłość do ludzi wyssała z mlekiem matki. Jej pierwsze zapamiętane obrazy z dzieciństwa, to ogromna kolejka do gabinetu jej ojca – dyrektora wiejskiej szkoły na ziemi lubelskiej, do którego ludzie przychodzili nie tylko po wiedzę. Jednym przygotowywał urzędowe pisma, drugim dawał zastrzyki (był wcześniej felczerem w wojsku), rozstrzygał rodzinne i sąsiedzkie spory. Był we wsi autorytetem. Upłynęło trochę lat i historia powtórzyła się. Przez 15 lat, w każdy czwartek po programie telewizyjnym, na Grażynę Orłowską czekała kolejka potrzebujących. I wszystko było jak u jej ojca. Tylko zastrzyków nie dawała, chociaż pani Lodzia z Jordanowa przychodziła kilka razy, aby wyrwać jej ząb.

Mimo, że jej rodzice urodzili się i wychowali w Lublinie, pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku wyemigrowali na wieś, aby nieść oświatę. Tam urodziła się 7 lipca 1949 roku i tam spędziła swoje dzieciństwo – wcale nie sielskie, ale takie, które zapamiętuje się na całe życie. Kiedy ukończyła Żeńskie Liceum Ogólnokształcące w Lublinie, wiadomo było, że pójdzie na polonistykę. W lubelskim Radiu Studenckim zajmowała się kulturą. Uwa-

zała, że taka tematyka najbardziej nobilituje. Pracę magisterską pisała o teatrze współczesnym. Ale już na podyplomowych studiach dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim, przekonała się, że życie jest ciekawsze niż teatr. Kiedy pojechała na pierwszą praktykę reporterską do PGR-u w olsztyńskim i poznała twardych, pełnych namiętności ludzi, dziennikarstwo stało się pasją. Za cykl reportaży na ten temat została wyróżniona w konkursie Tygodnika Kulturalnego.

Do Wrocławia przyjechała za mężem, ale i zainteresowana historią tej ziemi. Na początku jej pracy w TV Wrocław tropiła tajemnice Dolnego Śląska, zainspirowana przez jej promotora na studiach dziennikarskich, znanego reportażystę Krzysztofa Kąkolewskiego. Między innymi odkryła, że w Pieruszy koło Wołowa, Niemcy ukryli pod koniec wojny część skarbu króla Priama. Resztki tego skarbu odkopała pod koniec lat osiemdziesiątych i zrealizowała na ten temat kilka telewizyjnych reportaży.

Od początku swojej pracy dziennikarskiej była blisko widzów. Opowiadała o ich problemach i dramatach, załatwiała sprawy czasem beznadziejne.

Przez 17 lat do Dolnośląskiego Magazynu Reporterów, a potem do Reporterów w Drodze – programów, które redagowała i prowadziła, zgłosiło się ponad 60 000 osób. Tylko nieliczni przychodzili porozmawiać z kimś życzliwym – większość prosiła o pomoc. Te cotygodniowe dyżury były nie tylko dziennikarską służbą. Stały się one całą machiną pomocy, często materialnej. Kilka razy w roku od ponad 20 lat wozi dary za naszą wschodnią granicę. Od 18 lat Święta Bożego Narodzenia spędza wśród Polaków na obczyźnie.

Na Dolnym Śląsku każdy ma coś z Kresów. A to sąsiad zza Buga, a to swach ze Lwowa. Wśród takich ludzi łatwo jest coś dla rodaków wyprosić, coś załatwić. Kresy potrzebują naszej pomocy, ale przede wszystkim naszej pamięci. Za wschodnią granicą pozostali Polacy, stęsknieni za ojczyzną, spragnieni każdego kontaktu z przybyszami z Macierzy. Zostały też polskie cmentarze, bardzo często zapomniane, zrujnowane, wdeptane w ziemię, a jednak dra-

matycznie nawołujące o pomoc. Ratowaniem kresowych mogił Grażyna Orłowska-Sondej zajmuje się prawie 24 lata. Zaczęło się w 1999 roku od apelu mieszkańców Kołomyi, którzy nie chcieli pozwolić na likwidację swojej zabytkowej nekropolii - pamiątki po przodkach. Wówczas zrozumiała, jak silna jest magia Kresów na Dolnym Śląsku. Na apel Rodaków z Kołomyi odpowiedziały tysiące osób. Cmentarz został odbudowany i ponownie poświęcony w 2004 roku. Potem przyszedł czas na ratowanie kolejnych nekropolii w Drohobyczu, Tuligłowach, Podhajcach, Żytomierzu, Berdyczowie, Lubarze, Moczulance. Od dawna każde wakacje spędza na kresowych cmentarzach, nawet kiedy wybuchła pandemia, nie zrezygnowała z akcji porządkowania zapomnianych cmentarzy.

W 2010 roku narodziło się na Dolnym Śląsku prawdziwe pospolite ruszenie, pod hasłem MOGIŁĘ PRADZIADA OCAL OD ZAPOMNIENIA. Ten projekt zainteresował ponad 200 tysięcy uczniów, którzy co roku zbierali symboliczne złotówki, przeznaczone na porządkowanie polskich cmentarzy na Wschodzie. W czasie wakacji armia młodych ludzi porządkowała groby naszych przodków, uczyła się na Kresach patriotyzmu i polskiej historii. Wielu odnalazło miejsca, gdzie mieszkali ich dziadkowie i pradiadkowie. Spotkania z ziemią przodków były zawsze wzruszające i niezapomniane. Wolontariusze porządkowali również cmentarze w polskiej wsi Wierszyna na Syberii i groby zesłańców w północnym Kazachstanie. W rekordowym 2019 roku objęto opieką 150 kresowych nekropolii, w zachodniej i środkowej Ukrainie, na których pracowało 1200 uczniów, studentów i nauczycieli. Pozostawili po sobie wielkie dzieło. Tysiące ocalonych mogił, ale także nieopisaną wdzięczność bezradnych dotąd strażników tych cmentarzy, naszych rodaków, do których powrócił kawałek ojczyzny. Bo ojczyzna to ziemia i groby. A narody, które tracą pamięć – tracą życie. Przy pomocy najmłodszego pokolenia Dolnoślązaków, ocalamy tę pamięć.

Udokumentowali oni w Internecie ponad sto tysięcy polskich mogił na Wschodzie. Nie tylko porządkują cmentarze, również budują pomniki, fundują tablice, upamiętniają naszych roda-

ków, którzy spoczywają na obcej, chociaż kiedyś swojej ziemi. Fundacja Studio Wschód, którą G. Orłowska-Sondej założyła ponad 7 lat temu, oprócz przygotowania i koordynowania akcji MOGIŁĘ PRADZIADA OCAL OD ZAPOMNIENIA, ufundowała obelisk pomordowanym w 1944 roku mieszkańców Hanaczowa koło Przemysłu, wybudowała pomnik ofiarom NKWD w Borysławiu, zamontowała tablicę na cmentarzu w Antoniówce koło Lwowa, odbudowała cmentarz Legionistów w Rokitnie na Wołyniu, odnowiła pomnik Żelaznej Brygady w Pasiecznej i Zielonej, zrekonstruowała wojskową mogiłę w Niżniowie w woj. stanisławowskim.

Wszystkie te wydarzenia G. Orłowska-Sondej dokumentuje od 22 lat w telewizyjnym programie STUDIO WSCHÓD, który od czterech lat nosi on nazwę WSCHÓD i ukazuje się co tydzień w TVP Polonia. Zrealizowała ponad 1500 odcinków. To największe w Polsce kresowe archiwum, to również dokumentacja najważniejszych wydarzeń w Ukrainie, Litwie, Białorusi, ale również na Syberii w Kazachstanie, w Mołdawii i na rumuńskiej Bukowinie, wszędzie tam, gdzie żyją nasi rodacy i biją polskie serca. Obecnie (pocz. kwietnia 24) właśnie wróciła ze swojej 527 podróży na Wschód. Od roku wszystkie te wyjazdy zdominowała wojna w Ukrainie. Wolontariusze, którzy dotychczas zbierali symboliczne złotówki na porządkowanie mogił, teraz pomagają ofiarom wojny, również naszym rodakom, którzy często w tej wojnie są zapomniani i bezbronni. W ubiegłym roku byli z pomocą humanitarną w Ukrainie 39 razy, w tym roku już 13. Odwiedzają także żołnierzy walczących na froncie, pokazują okrucieństwo tej wojny. Aby nie zatracić idei akcji, wolontariusze, którzy w ubiegłe wakacje nie mogli wyjechać do Ukrainy, porządkowali mogiły zesłańców w Kazachstanie i polskie groby w Mołdawii i na Litwie. W tym roku planowany jest również wyjazd do Kazachstanu i Mołdawii. W działaniach skierowanych na WSCHÓD, widać gołym okiem wielkie zaangażowanie młodych ludzi, ich bezgraniczne oddanie ziemi swoich przodków, wrażliwość i ciekawość losów naszych rodaków. Wiele razy rodzice tych młodych wolontariuszy pytają, „co wy tam na Kresach robicie w

tymi naszymi dziećmi, że one wracają jakies inne, szlachetniejsze, bardziej dojrzałe....”

W takiej notce biograficznej należy wspomnieć o odznaczeniach. Z państwowych - Złoty Krzyż Zasługi przyznany w 2005 roku, i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, nadany w 2018 roku, kilka resortowych, przyznanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, również Medal Edukacji Narodowej, oraz kilkanaście przyznanych przez organizacje kresowe i kombatanckie. Najbardziej ceni sobie nagrodę Parlamentu Europejskiego z 2009 roku „za budowanie mostów między Europą Środkową i Wschodnią” i medal Rajdu Katyńskiego „Za Twoje Polskie Serce”.

Choć nie jest Kresowianką, ani nie pochodzi z rodziny kresowej, jej polskie serce zawsze mocniej bije na Kresach.



Grażyna Orłowska-Sondej otrzymuje Krzyż Oficerski orderu Odrodzenia Polski z rąk prezydenta RP Andrzeja Dudy za wybitne zasługi w upamiętnianiu dziedzictwa kresów w szczególności za ratowanie cmentarzy na wschodzie – 2018 r.